Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

ŁOWIEC POLSKI W INDYACH.

Mamy przed sobą książkę, która bardzo wybitne miejsce zajęła w łowieckiej literaturze polskiej. Są to „Notatki myśliwskie z Indyi przez Józefa hr. Potockiego“ (Kraków 1891), dzieło, wydane z niezwykłym przepychem, ozdobione 13 rycinami, ale odbite jedynie w małej ilości egzemplarzy i nie puszczone w ruch księgarski.

Niejednokrotnie spotkać się można z wspaniałymi wydaniami dzieł, spisanych przez ludzi, zajmujących wysokie stanowisko towarzyskie, lecz nie zawsze wspaniałości okładki i papieru odpowiada treść w nich zawarta. Tu wszakże ma się rzecz odwrotnie, i gdyby notatki hr. Józefa Potockiego odbite były na zwykłej bibule drukarskiej, byłyby czytane z równem zajęciem i nie straciłyby nic z swej istotnej wartości. Autor umie opowiadać jak pisarz najwytrawniejszy, język jego niezwykle czysty i staranny, a przytem pełen siły i barwności, opowiadanie ciągle zajmujące, a spostrzeżenia świadczą o bystrym zmyśle spostrzegawczym, który umie podjąć wszystko co jest nowem i nie nużyć czytelnika powtarzaniem rzeczy, znanych już dostatecznie z opisów innych podróżników. W autorze odsłania się wreszcie żywa, prawdziwie swojska, pełna prostoty i dziarskości natura łowiecka, w skutek czego i notatki jego mają ten urok prostoty i wdzięku bezpośrednich wrażeń, które płyną jedynie z osobistego zetknięcia się z nowym, nieznanym nam światem, i żadną sztuką literacką zastąpić się nie dadzą.

Korzystając z łaskawego przyzwolenia autora, podamy nietylko streszczenie jego wybornej pracy, lecz także dłuższe z niej ustępy, przekonani, że zrobimy tem prawdziwą przyjemność naszym czytelnikom.

* * *

Hr. J. Potocki wyruszył d. 6. stycznia 1890 z Brindisi, udając się na Wschód daleki i po trzydniowej przeprawie przez morze Śródziemne znalazł się w Aleksandryi a następnie w Kairze, gdzie spędził parę tygodni, głównie na poszukiwaniach arabskiego ogiera do Antonińskiego stada. Poszukiwania te spełzły na niczem.

„Za wieleby mi miejsca zajęło — pisze autor — rozpisywać się tutaj o arabskich koniach na Wschodzie, o obecnym stanie tej rasy w jej ojczyźnie, a wreszcie o trudnościach odszukania i nabycia odpowiednich do chowu ogierów, to tylko pewnem mi się wydaje, że dzisiaj nie w Turcyi ani w Egipcie ich szukać należy. Są one w Arabii Desercie, właściwej swej ojczyźnie, lecz dostęp do tego kraju trudny, dziś niemal niemożliwy; fanatyczne bowiem szczepy wahabickich Arabów bronią wstępu znienawidzonym Europejczykom. Wobec tego, jedynem miejscem, gdzie arabskie konie znaleść można, wyłącznym wielkim targiem na nie, są Indye angielskie.

Chciwi zysku arabscy handlarze wyprowadzają corocznie kilka tysięcy sztuk koni przez Bassorę i zatokę Perską do Bombayu, gdzie je Anglicy do armii jazdy i wyścigów rozchwytują. Wszystkie konie oficerskie i wierzchowe w Indyach pochodzą z Arabii, a rozwijający się szybko sport wyścigowy, wyłącznie dla arabskich koni ustanowiony, powiększa z każdym rokiem popyt na arabów.

Podobny wywóz „en masse“ najlepszej młodzieży końskiej z Arabii wpływa nader ujemnie na chów i rozwój arabskiej rasy na Wschodzie i niewątpliwie sprowadzi jej upadek, który już obecnie staje się widocznym“.

Hr. Potocki nabył dopiero w Kalkucie pięknego, gniadego ogiera z pokolenia Obejan Scharak, którym stado Antonińskie wzbogacił. Z Kairu zaś kreśli nam następującą ciekawą sylwetkę zbisurmanionego Anglika:

„Poszukując koni, przejrzałem wszystkie więcej znane w Kairze stada i stajnie bogatych paszów, arabskich handlarzy, a nawet obozy koczujących w pustyni obok miasta Beduinów. Wycieczki te odbywałem w towarzystwie słynnego oryentalisty a raczej arabomana, Anglika, pana Blunta, który parę lat temu w swych wędrówkach po świecie i o nasz Wołyń zawadził, dla zwiedzenia stada arabskiego w Antoninach. Poznałem się z nim wówczas, i dotąd łączą nas przyjacielskie stosunki. Mr. Blunt jest fanatycznym niemal miłośnikiem arabskich koni, i sam posiada w Anglii ładne stado, wyłącznie z koni z pustyni sprowadzonych złożone, które ciągle nowymi nabytkami wzbogaca.

Dziwny to typ człowieka, który, mimo całego swego rozumu i wykształcenia, manią oryentalizmu do śmiesznego dziwactwa doprowadził. Prócz wiary, porzucił on wszystko co europejskie: tryb i sposób życia, ubiór, zwyczaje, jada nawet na wschodni sposób palcami, i tylko mleko i wodę pija — jednem słowem zbisurmaniał zupełnie. Mieszka w okolicy Kairu, gdzie się zaczyna pustynia, w domku z gliny ulepionym, nierzadko koczuje obozem na pustyni, otoczony Arabami z Nedżdu i Yemenu, z którymi go łączą przyjacielskie stosunki, i którzy w odwiedziny doń przybywają.

Istny angielski Emir Rzewuski, wyrzekł się niemal swej ojczyzny, a anti-angielskie stanowisko, jakie zajął w czasie rozruchów Arabi'ego paszy, ściągnęły nań niełaskę angielskiego rządu i jako karę — wygnanie z Egiptu. Po kilku latach banicyą zniesiono, i powrócił napowrót do swego ulubionego kraju, w którym dotąd stale zamieszkuje, na krótko tylko odwiedzając angielską swą ojczyznę. Żona jego, znana autorka obszernego dzieła o Arabii, kobieta niezwykłych zdolności, i 17-letnia córka dzielą jego życie w pustyni, przybrawszy nawet ubiór arabski.“

W Kairze spotkał się był nasz podróżnik także z powracającym właśnie Stanleyem.

Dopiero 23. stycznia wyruszył hr. J. Potocki w dalszą podróż, a mianowicie na Aden do Bombayu, i podaje żywe opisy obu tych miast i ich ludności. Z Bombayu rozesłał listy polecające do różnych osób, zapytując o polowania, lecz otrzymał odpowiedzi nie bardzo zachęcające. Jeden tylko pułkownik Gerard z Goony, znany w najszerszych kołach myśliwy, robił mu niejakie nadzieje.

Nie było więc co dłużej pozostawać w Bombayu i dnia 12. lutego wyruszył hr. Potocki w dalszą podróż.

Co do ciekawych szczegółów tej podróży, pozostawiamy już opowiadanie wdzięcznemu pióru samego autora:

„Po 10 dniach pobytu w Bombayu — pisze nasz podróżnik — pożegnałem to miasto i rezydującego w niem austryackiego konsula Stockingera, nader uprzejmego i usłużnego reprezentanta Austro-Węgier na dalekim Wschodzie.

Sześćdziesięciu godzin jazdy szybkim kuryerem potrzeba, by przebyć dużą odległość 2.200 kilometrów, oddzielającą dwie indyjskie metropolie na przeciwległych krańcach Hindostańskiego półwyspu położone.

Podróż niezbyt nużąca, wagony wygodne, restauracye po drodze możliwe, upał nie dokuczał zbytecznie, a przesuwający się przed oknami nowy zupełnie krajobraz, przerywał jednostajność długiej jazdy koleją.

Gdyśmy przejeżdżali równiny środkowych Indyj, zoczyłem przez okno wagonu pierwszą zwierzynę w Indyach, mianowicie smukłe gazele i antylopy, które stadami z kilkunastu sztuk złożonemi, pasły się spokojnie w łanach dojrzałej tu w lutym pszenicy, o kilkaset kroków od kolejowego toru, wcale się pociągu nie obawiając. Nie mogłem się wstrzymać od okrzyku zadziwienia, zobaczywszy z wagonu po raz pierwszy w życiu gromadkę dzikich małp dużego gatunku, wyprawiających wesołe skoki w cieniu rozłożystego banana. Bawią też oko zielone papugi na drutach telegraficznych rozsiadłe i mnoga rozmaitość niezwykłych dla Europejczyka ptaków, których widok jakby zapowiadał czekające nas dziwy indyjskiej fauny.

14go przerwałem podróż na 24 godzin, by zwiedzić położone po drodze miasto Benares nad Gangesem. Benares to święte miasto Hindusów, centrum i ognisko religii Braminów, cel pielgrzymki licznych milionów wyznawców Brahmy, z których każdy choć raz w życiu, jak Muzułmanin do Mekki, do Benares śpieszy, by złożywszy ofiarę na ołtarzu świętej Siwy, wykąpać grzeszne ciało w nurtach świętego Gangesu.

Nietylko dla wyznawców Brahmy, Benares jest ważnem miejscem; czczą go też setki milionów budystów jako kolebkę Budaizmu. Tu bowiem nad brzegiem Gangesu, 25 wieków temu, powstał Sakya-Mounis, założyciel Budaizmu, głosząc zasady nowej wiary, która wyparłszy z Indyi braminizm, zyskała szybko miliony wyznawców i ogarnęła znaczną część ludów Azyi. Po kilkunastu dopiero wiekach braminizm znowu się wzniósł i wzmocnił a wypędzając budaizm do głębszej Azyi, przywrócił napowrót przewagę dawnej wiary, którą dziś około 200 milionów Hindusów wyznaje. Dziś jedna jest tylko świątynia Budhy w Benares jakby na wieczną pamiątkę minionego panowania tej religii w Indyach. Jest za to do 5.000 świątyń indyjskich, wznoszących ku niebu swe pagody o dziwacznej architekturze i przeszło 300 meczetów o wysmukłych minaretach, gdzie liczna miejscowa muzułmańska ludność, tu na Zachód ku Mecce się patrząc, wiarę Mahometa wyznaje, wszystko to słusznie Benares nazwę świętego miasta nadaje. Ileż tu dziwów, ile rzeczy ciekawych dla zwiedzającego! Świątynia małp, z hurmą tych zwierząt, którym Hindusi boską cześć oddają, druga świątynia, w której święta krowa, zwyczajne bydlę do marmurowego filaru przywiązane, obojętnym i głupim wzrokiem przyjmuje pokłony i ofiary pobożnych, dalej złota pagoda Siwy ze szczerozłotą kopułą, oto najciekawsze miejsca, które każdy zwiedzający obejrzeć musi.

Prawdziwie imponujący obraz przedstawia Benares rano po wschodzie słońca z małej łodzi na Gangesie, w której odbyliśmy spacer po rzece. Majestatyczne panorama świętego miasta z jego tysiącami pagód i minaretów rozwija się przed nami na lewym górzystym brzegu rzeki, wspaniałe pałace i rezydencye indyjskich Rajahów wznoszą się dumnie w zwartym szeregu budowli, z każdego z nich prowadzą szerokie marmurowe schody do nurtów rzeki.

U stóp ich tysiące Hindusów mężczyzn i kobiet odbywa swe codzienne religijne ablucye; obok pod parasolami rozsiedli fakirzy, ściągający datki z pobożnych i dymiący stos drzewa, na którym według zwyczaju bramińskiej religii, dopalają się zwłoki zmarłego Hindusa — wszystko to stanowi dziwny, jedyny w swoim rodzaju obraz.

15-go w południe opuściliśmy Benares; jeszcze 20 godzin jazdy koleją i nazajutrz przybyliśmy do Kalkuty, przebywszy po drodze rzekę Hongli, jedno z licznych ramion Gangesu, które, złączywszy się wyżej z Bramaputrą, tworząc szeroką deltę, niedaleko stąd wpada do morza.

W Kalkucie miały się zdecydować moje zamiary i rozstrzygnąć losy mej myśliwskiej wyprawy. Z uczuciem niemałej emocyi, w parę godzin po przyjeździe, złożyłem wizytę sekretarzowi wicekróla lordowi Beresford, który zajmując to wysokie stanowisko, jest zarazem *le grand faiseur* wicekrólewskiego dworu. Zawiadomiłem go jeszcze z Bombayu o moim przyjeździe, załączając jednocześnie listy polecające do wicekróla. Uprzejmy lord zazwyczaj cudzoziemcom urządzanie wypraw myśliwskich ułatwia, wyrabia zaproszenia do indyjskich książąt czyli Maharadżów i wogóle, jeżeli ktokolwiek w Indyach w tym względzie cudzoziemcowi pomóc może, to niewątpliwie najlepiej i najskuteczniej uczyni to lord Beresford, nawiasem mówiąc, najuprzejmiejszy i najmilszy człowiek w świecie. Niestety po paru chwilach rozmowy z nim, zaczęły się me marzenia i nadzieje jak marne sny rozwiewać. Nie zawiadomiłem lorda dość wcześnie o swoim przyjeździe i teraz nic już nie można było zrobić.

Maharadżah Kooh-Beharu, który zazwyczaj cudzoziemców zapraszać lubi i na którego najwięcej liczyłem, już był — z licznem gronem zaproszonych gości — rozpoczął swe doroczne polowania. Rajah z Rewah — u którego moi austryaccy znajomi, hrabiowie Hoyos, Trautmansdorff i Szechenyi, lat temu kilka, tak świetne zdobyli trofea — miał już ułożoną listę gości, szesnaście strzelb i absolutnie nikogo więcej przyjąć nie mógł. W Nepalu, na północy, najlepszym tygrysim rejonie, polował właśnie z ogromną świtą ks. Albert Wiktor, syn księcia Walii; w Assamie, ojczyźnie nosorożców, brakło słoni, które znajdowały się gdzieś w Birmie, na wojskowej wyprawie Anglików nad chińską granicą, a bez słoni niesposób polować. W środkowych prowincyach było o półtora miesiąca zawcześnie; jednem słowem nic a nic, i żadnej nadziei mieć nie mogłem.

Wicekról, margrabia Landsdowne, który mię tego samego dnia przyjął i nader uprzejmie o swej gotowości udzielenia pomocy zapewnił, powtórzył mi tylko niewesołe nowiny, które z ust Beresforda już usłyszałem: „Trzeba nas było o parę miesięcy wcześniej zawiadomić, a bylibyśmy pana na liście Kooh-Beharu lub Revah zamieścili“; oto słowa, który mi każdy powtarzał. Beresford szczerze się mną zajął, chcąc mi coś wyszukać — jednak minął dzień, drugi i trzeci, a żadne widoki polowania mi się nie otwierały. Otrzymałem tylko w tym czasie telegram od wzmiankowanego wyżej pułkownika Gerarda z Goony, jako odpowiedź na mój drugi list do niego. Telegramem tym zapraszał mię ponownie, dodając, że czeka mego przyjazdu, choćby zaraz, że nadzieje jednakże są słabe. Nazajutrz odebrałem długi, obszerny list od niego ze wskazówkami co do drogi do Goony, co do przygotowań do tej wyprawy i innymi dotyczącymi jej szczegółami. O samem polowaniu pisał: „Będę bardzo rad być Panu pomocnym, o ile to leży w mej mocy, tu jednak, jak zresztą — sądzę — i wszędzie, grubego zwierza nie tak wiele i polowanie na niego niepewne. W niektórych częściach kraju tygrysy zupełnie wybito, a w innych są one rzadsze niż bywały. „Dżungle“ są jeszcze zbyt gęste, by mieć nadzieję dobrego polowania, i rzadko zaczynam regularne polowanie na tygrysy przed drugą połową kwietnia. Jednakże, o ile Pan nie masz lepszych widoków a chcesz się narazić na niewygody długiej i uciążliwej podróży do Goony, w gorąco i straszną kurzawę, proszę przyjeżdżać, skoro Panu czas pozwoli“.

Naradziwszy się z Beresfordem, postanowiłem ostatecznie chwycić się tej ostatniej deski ratunku i bezzwłocznie do Goony wyruszyć, tem więcej, że zakreśliwszy sobie z góry termin powrotu do Europy, nie mogłem dłużej bezczynnie wyczekiwać. Sam wicekról mi to doradzał, chwaląc Gerarda, jako znakomitego myśliwego; obiecał mi też do niego napisać, polecając mnie jego względom; a głównodowodzący wojskami w Indyach, jenerał Roberts, przyrzekł polecić ułatwienie mi drogi do Goony, położonej o 140 mil od Gwalior, ostatniej stacyi kolei żelaznej.

Kamień mi spadł z serca, gdy na tym zamiarze ostatecznie stanęło, miałem przynajmniej nadzieję dorwania się jakiegoś polowania. Nie od rzeczy tu może będzie dorzucić słów parę ogólnych o polowaniach w Indyach a raczej o sposobie dostania się na nie i o trudnościach, które cudzoziemiec pod tym względem napotyka. Rzecz prosta, mam tu na myśli polowanie na najgrubszego zwierza; wątpię bowiem, by myśliwy, raz się do Indyj wybrawszy, zadowolnił się antylopą lub ptastwem. Otóż dzisiaj niema już tego co dawniej w Indyach bywało, gdy cudzoziemiec w tym odległym kraju był rzadkością, a tygrysy po całym półwyspie w ogromnej ilości grasując i nie małe szkody wyrządzając w ludziach i dobytku, na każdym niemal kroku się pojawiały. Od czasu gdy rząd angielski znaczną nagrodę za zabicie tygrysa wyznaczył, ilość ich w ciągu ostatnich lat dwudziestu znacznie się zmniejszyła, do czego przyczyniła się jeszcze bardziej liczba myśliwych, która wraz z ułatwieniem szybkich komunikacyj z Europą, wzrastała w odwrotnym stosunku do stanu zwierzyny. Setki Anglików, dla których przejazd do Indyj jest prostą przechadzką, i którzy rokrocznie na polowanie przybywają, dokonały tego, o czem Gerard we wspomnianym wyżej liście pisał, że gdzieniegdzie tygrysy zupełnie wybito, a wszędzie jest ich niezbyt wiele, wogóle znacznie mniej niż bywało. Prócz tego postępy cywilizacyi, rozwijające się rolnictwo, gęsta sieć kolei żelaznych, przechodzących dzisiaj przez miejsca, gdzie niedawno dziewiczy las ludzkiej stopie wzbraniał dostępu, wszystko to w Indyach, jak i wszędzie zresztą, ujemnie wpłynęło na stan grubego zwierza.

Tak samo jak z tygrysem lub panterą, ma się rzecz i z inną najgrubszą zwierzyną, z tą tylko ujemną różnicą, że podczas gdy tygrys w Indyach mniejwięcej wszędzie się pojawia, nosorożec, potężny bizon *(bos gaurus)*, rzadkie gatunki koziorożców i ovisów, tej tak wysoko przez myśliwych cenionej zwierzyny, zamieszkują tylko północne części półwyspu, niedostępne moczary i dziewicze lasy Assamu nad Bramaputrą, lub wieczne śniegi Himalayów i Kaszmiru. Tam się dostać, to ekspedycya nielada, przechodząca zakres myśliwskiej wycieczki. W Mysorze, na południu, znajdują się w wielkich ilościach dzikie słonie, lecz te w Indyach — jak żubr w Białowieży — są pod ochroną prawa angielskiego, które je strzelać zabrania. W południowych prowincyach istnieją osobne komisye rządowe, które się wyłącznie wyłapywaniem i oswajaniem tych pożytecznych zwierząt zajmują. Niewątpliwie, jest to najcenniejsze zwierzę w Indyach; na dworach Maharadżów setki się trzymają,

używając do uroczystych pochodów i na łowy na dzikiego zwierza, przedewszystkiem zaś potrzebne są dla angielskiej armii i ważną grają w niej rolę, jako jedyna możliwa do użycia siła transportowa.

W myśliwstwie są one nie do zastąpienia, i bez słoni polowanie w Indyach jest niemal niemożliwem; cena myśliwskiego słonia nieraz kilkaset funtów sterlingów wynosi; słonie bowiem w oswojonym stanie się nie mnożą, każdy z nich musi być dzikim złapany i dlatego to cena ich jest tak wysoka.

Na czele komisyi łowienia słoni stoi pułkownik Sanderson, autor nader zajmującego dzieła o słoniach, z którego można się mnóstwo ciekawych szczegółów o ich naturze, sposobie łapania i polowania na nie dowiedzieć.

Można powiedzieć, że polowanie w Indyach umiejscowiło się dzisiaj w kilkunastu punktach, porozrzucanych w stosunkowo małych przestrzeniach, na ogromnym obszarze półwyspu, obszarze równającym się mniejwięcej całej Europie bez Rosyi. Niedostępny Nepal, południowa część Assamu, Kooh-Behar, Revah w środkowych Indyach, Jeypoor, Hayderabad i Mysore na południu i kilka innych miejscowości, oto najlepsze tak zwane *shooting-grounds* w całych Indyach. Ongi Goona do nich należała, dziś pozostało tylko wspomnienie, tradycya żyjąca o 40 tygrysach, które padały tam zwyczajnie w jednym myśliwskim sezonie. Te *shooting-grounds*, które nazwijmy rewirami, leżą albo w posiadłościach Maharadżów, półudzielnych książąt krajowych, wassalów Anglii, do których dotąd trzecia część indyjskiego terytoryum należy, albo, znajdując się w angielskiej prowincyi, są pod względem polowania w wyłącznem i faktycznem władaniu oficerów anglo-indyjskiej armii. W pierwszym wypadku zajść mogą dwie ewentualności: albo Maharadżah sam jest myśliwym i wtedy sam urządza raz do roku wielkie i wspaniałe łowy, na które można uzyskać zaproszenie; nie jest to jednak zbyt łatwem, gdyż tylko kilku z tych książąt Europejczyków przyjmuje, a wtedy popyt na zaproszenia jest wielki i nieraz na rok naprzód listy gości się tworzą, a panowie angielscy umyślnie na te łowy z Anglii przyjeżdżają. Druga ewentualność: Maharadżah nie dba o polowanie i oddaje takowe do dyspozycyi angielskiemu rezydentowi. Ten ostatni, zazwyczaj wyższy oficer sztabowy lub cywilny urzędnik, pełni nominalnie czynności komisarza rządowego w charakterze przedstawiciela cesarzowej na dworze Maharadży, de facto zaś zazwyczaj on rządzi krajem i dzierży władzę w ręku, trzęsąc dworem księcia a często i nim samym, zbywając go kilku tysiącami funtów sterlingów „rocznej subwencyi na wydatki dworu“. Rezydent taki wówczas dla siebie i swych przyjaciół polowanie urządza. W drugim wypadku, gdy „rewir“ na angielskiem terytoryum się znajduje, rozporządzają nim wyłącznie oficerowie pułków w głębi kraju załogą stojących. Wszyscy to prawie myśliwi, lata cała przebywając w napół dzikim kraju, odcięci od świata, cywilizacyi i jej przyjemności, mają w polowaniu jedyną rozrywkę i namiętnie jej hołdując, niechętnie obcych a temmniej cudzoziemców do swego grona przyjmują. Przyznać jednak należy, że gdy się raz kto do ich drużyny dostanie, pewnym być może najlepszego przyjęcia i pełnej ze wszechmiar gościnności i uprzejmości z ich strony. Na parę miesięcy naprzód urządzają oni doroczną wyprawę myśliwską: przygotowują ludzi, konie, namioty, wyszukują najlepsze knieje grubego zwierza i ruszają z całym taborem w lasy i dżungle na dwa lub trzy miesiące. Są to tak zwane po angielsku: *shooting-parties*. Zapraszają niekiedy swych kolegów z innych pułków, czasem przyjaciół z Anglii, obcego zaś rzadko, tylko gdy go ktoś z ich dobrych znajomych gorąco zarekomenduje, lub wicekról poleci, lecz i to robią zawsze niechętnie. Dziwić się temu zresztą niemożna: każdy myśliwy o swoję knieję zazdrosny, a gęsta ręka nie należy do przyjemności polowania, szczególnie na grubego zwierza. Gdyby do którego z naszych myśliwych, mającego np. piękne toki na głuszce na dwie lub trzy strzelby urządzone, nieznany Anglik lub Francuz chciał się wprosić, lub wpadłszy raptem do naszego kraju, w nieodpowiedniej porze, jak się to często w Indyach zdarza, jaki cudzoziemiec domagał się gwałtem urządzenia mu polowania na jelenie w Karpatach, lub łosie na Polesiu? Rezultat jego łowów byłby napewno wątpliwym, a przytem zachodzi tu ta różnica, że angielskich myśliwych mało do naszego kraju przyjeżdża, a obcych zewsząd hurmy rokrocznie do Indyj się udają. Jeszcze jednę okoliczność zaznaczyć tu wypada: sezon polowania w Indyach, przez przyrodę zakreślony, ogranicza się do stosunkowo krótkiego czasu w roku. Z wyjątkiem północnej części półwyspu, w środkowych i południowych prowincyach tylko w tak zwany gorący sezon na grubego zwierza a w szczególności na tygrysa polować można; powyższy zaś sezon obejmuje niewięcej jak trzy miesiące, t. j. od 15. marca do 15. maja. Przedtem dżungle za gęste, dostęp do nich trudny, śledzenie zwierza i oznaczenie miejsca jego pobytu niemożliwe. Dopiero gdy skwary słoneczne wysoką trawę i trzcinę przepalą, gdy wody w rzekach i strumykach wysychać poczną, pozostając w niektórych tylko niższych miejscowościach, ściąga dziki zwierz do tych naturalnych wodopojów, koncentrując się niejako na mniejszej stosunkowo przestrzenie, w pewnych określonych, miejscowym myśliwym dobrze znanych kniejach i ostępach. Z końcem maja znowu rozpoczyna się się długi zezon deszczów, poczem następuje pora straszliwych letnich upałów, deszczami przeplatanych, pora zabójczych gorączek, w którym to czasie żaden Europejczyk dłuższy czas pod namiotem przebyć się nie odważy. Pod wpływem klimatu stref podzwrotnikowych, roślinność rozwija się wówczas całą siłą, dżungle i lasy stają się jednym niedostępnym i nieprzebytym gąszczem, i o polowaniu mowy niema. W północnej części Indyj wcześniej można zacząć i później skończyć polowanie, jednakże dostęp do tych krajów topograficznie trudniejszy, a zresztą i tu sezon klimatycznemi warunkami ograniczony. Z powyżej opisanych względów łaskawy czytelnik przekonać się może, że na polowanie na grubego zwierza w Indyach nie tak łatwo dostać się można, jak o tem w Europie mówią i jak niejeden turysta, który z Baedekerem w ręku od miasta do miasta w wygodnym wagonie się przejechał, nieraz opowiadać lubi, prawiąc dziwy o tygrysach, z którymi chyba w ogrodzie zoologicznym się spotkał.

W kraju tak bogatym w różnorodną zwierzynę, jak Indye, można wypadkiem gdzieniebądź natknąć się na grubego zwierza, nawet na tygrysa, są to jednak rzadkie wypadki, raz na lat dziesięć się trafiające, których na seryo w rachubę brać trudno. (C. d. n.)

Opowiadanie starego Poraja

powtórzył

Aleksander Ubysz.

(Z pism pośmiertnych).

(Dokończenie.)

Przyjaciel mój zakrystyan, a w części i sam kanonik, opowiedzieli nam niektóre obyczaje starościca. Tenże, wedle własnego zeznania, od lat bardzo wielu nie spożywał żadnego mięsiwa — bowiem jak mawiał: „będąc wyznawcą czystej religii chrześciańskiej, miłuje wszystko co Bóg stworzył, przeto nie utrzymuje swego życia życiem istot od Boga stworzonych“. Żywił się więc wyłącznie jarzynami, owocami i potrawami mącznymi, omaszczonymi mlekiem kóz, będących przy nim, które sam doił. Był to więc niemal pierwszy w Polsce wegetaryanin.

Starościc hołdował z wszelką skrupulatnością zasadzie „nie zabijaj!“ — nawet stworzeń na pożywienie ludziom przeznaczonych. Obszerne posiadając dobra ziemskie, w których i liczne były knieje, sam nie polował i nikomu bezwarunkowo polować nie pozwolił. Wyjątek stanowiły wilki, na które rządzca dóbr jego często urządzał obławy, głównie dlatego, że trzódka kóz starościca, umieszczona, jak już powiedziałem, przy pustelni jego w głębi lasu, na częste napady wilcze narażaną bywała.

Strzelby lub innego morderczego narzędzia nie posiadał u siebie starościc, więc gwoli obrony przed wilkami siebie samego i ulubionej trzody kóz swoich białych, utrzymywał psów dwoje, rzadkich po owe czasy brytanów rasy duńskiej. Psy owe, które widziałem, były maści białej, bez odmiany, ogromnych rozmiarów, o smukłych niby charcich kształtach, o krwawych niby króliki oczach, co je dziwnymi i tem straszniejszymi czyniło. Lud okoliczny utrzymywał, że starościc, będąc Farmazonem, ma dwu szatanów w psiej postaci na swoje usługi. Psy owe dla ludzi wielce były łagodne. Leżały zwykle u progu pustelni strzegąc jej. I biada każdemu drapieżnemu zwierzęciu, które pokusiło się zbliżyć pod pustelnię — brytany rozszarpywały je.

Jak bezlitośnie postępowały z drapieżnymi zwierzętami, tak znowu dziwnie były przyuczone do łowów na sarny i zające. Skutkiem ścisłego szanowania zwierzyny pożytecznej w lasach starościca, było jej tam pełno, ztąd częste zdarzały się napady sarn, zajęcy a nawet dzików na ogrody, które starościc własną ręką uprawiał, zasadzając drzewami owocowymi i jarzyną. Otóż obowiązkiem brytanów było wówczas szczekaniem odstraszać zgraje napastników. Gdy wszakże uparty szkodnik mimo to wkradał się w ogród, psy go łowiły i żywcem przytrzymywały, poczem wybiegał starościc — i gdy to była sarna lub zając, rózgą udzielał im admonicyę, dzikowi dawał takowę sporym kosturem.

Lasy, należące do starościca, pierwsze były podówczas w Polsce, w których zwierzynę łowną żywiono w czasie mroźnych i śnieżnych zim. W każdej kniei tu i ówdzie stawiano stożki z sianem, a „tryzubki“ z niemłóconym owsem dla sarn i zajęcy.

Ksiądz kanonik i dziekan Nabrozki wiele miał trudności w pokonywaniu baśni, które pomiędzy herbowymi i nieherbowymi owieczkami jego parafii o starościcu krążyły. Miano go bowiem za Farmazona — a wyobrażano sobie pod tą nazwą jakiegoś pobratymca szatana, który w nic nie wierzy. Stary zakrystyan opowiadał mi pod sekretem, że nie on sam wprawdzie, ale ktoś tam inny widział, jak w czasie burzy w pustelnię starościca, jeden po drugim, trzy pioruny uderzyły, nie zapaliwszy słomianej strzechy — i tłumaczył to tem, że Farmazon umieścił wprawdzie krzyż na kopułce swej kapliczki, lecz jak to mówią: „Panu Bogu świeczka a djabłu ożóg“ — tak i on, tuż przy krzyżu, umieścił szatańskie jakieś narzędzie, wyglądające jak rożen o złotym szpicu.

— A powiadają — dodawał zakrystyan — że to rożen, na którym dyabeł duszę jego w piekle piec będzie, toż on go strzeże przed wszelką przygodą, nawet przed piorunami.

Po dowiedzeniu się o takiej strasznej rzeczy, obaj z Józefem bylibyśmy już za nic w świecie nawet do ministrowania przy mszy do starościca nie pojechali.

Było to lato, gdy po zamknięciu szkół Zamojskich, mnie z Józefem do Nabroża odwieziono. Dobre to były dla nas czasy. Swoboda w całem znaczeniu, bo ks. kanonik łagodnego był usposobienia. Wprawdzie polecił ks. Rochowi, wikaremu swemu, ażeby codziennie uczył nas jaką godzinę, lecz młodemu księdzu prędzej ze strzelbką polować niźli nad nami siedzieć się chciało. Do polowania miał też ks. Roch pasyę okrutną, z czego wynikały częste nieporozumienia z kanonikiem, który mawiał, że duchownemu ze strzelbą uganiać jakoś *non licet*... Toż, by ubezpieczyć starowinę, że ks. Roch honorowi kapłańskiemu czyniąc zadość, poniechał wycieczek na łowy, oddał wikary nawet własną strzelbę księdzu kanonikowi w przechowanie. Tymczasem tak się działo. Ja z Józefem, uzbrojeni w strzelby, wychodzim w pola lub do lasku, a ksiądz Roch z nami w urzędzie ochmistrza. Józef był jeszcze malcem i strzelać nie umiał, toż gdyśmy zeszli z oczu kanonikowi i parafianom, strzelbę swoją oddawał ochmistrzowi, sam zaś wespół z „Bosym“, ślepym i głuchym od starości psem mieszańcem, pełnił usługi wyżła.

Ja z ks. Rochem strzelaliśmy co się nawinęło. Wikary strzelał dobrze, ja nieźle, toż biliśmy przepiórki, kuropatwy, a często przynieśli i szaraka. Wikary wypierał się czynnego w łowach udziału, więc cały splendor spadał na mnie. Ks. kanonik, niemniej i zakrystyan wielce mi byli przychylni. Nieraz słyszałem jak mnie zakrystyan przed Jegomością kanonikiem wychwalał.

— Ho! ho, to będzie wielki człowiek! A jak on po niemiecku szwargota — jak stary.

Pewnego dnia konny posłaniec z Wożuczyna przywiózł pismo od rządzcy, zapraszające kanonika ze mszą do starościca, bo znów kapelan jego gdzieś był wyjechał. Mówi tedy do nas kanonik:

— Dzieci, jutro pojedziemy do pustelni, posłużycie mi do mszy św.

Struchleliśmy z Józefem na tę wiadomość. Do Farmazona, co zarówno Bogu jak i szatanowi stawia krzyże — za nic w świecie! Mimo wszelkich perswazyj ks. kanonika nie pojechaliśmy Zwykły jego ministrant, chłopak ze wsi pojechał.

„Kota nie ma, myszy na stół“ — mówi przysłowie. Po wyjeździe kanonika, nawet bez księdza Rocha, dobrawszy sobie do kompanii pastuszka owiec, wielce sprytnego, wybraliśmy się z Józefem do lasku. Przy tej sposobności chciałem Józefowi dać kilka lekcyj strzelania. Uczepiwszy więc do drzewa kawałek papieru mówię: „Strzelaj!“ Wymierzył do celu o dziesięć kroków i trafił w bok, w gałęzie. Prawdziwie „w pięty mierzył, w nos uderzył“. Podobnie spudłował kilka razy. Na to odzywa się pastuszek:

— To mi panicz strzelec! Ja paniczowi na dziesięć kroków rękę moją potrzymam, a nie trafi. Nie boję się!

— Nie boisz się? — mówi Józef podrażniony despektem.

— Nie! — odpowiada chłopak i nastawia dłoń.

Paf! — strzelił Józef — a pastuszek upadłszy na ziemię, począł wrzeszczeć w niebogłosy: — „Zabił mnie“.

Struchleliśmy — przypadamy do chłopca, ma trzy śruty w dłoni, z której krew płynie obficie. Owiązaliśmy ranę jako tako i uciszyli chłopca, który przyrzekł, że wszystko zachowa w tajemnicy. Zakrystyan tylko przypuszczony był do sekretu sprawując urząd felczera.

— Wszystkiemu winien starościc — rzekł domorosły eskulap, z miną wielce tajemniczą — pewnie przysłał swego „chowańca“ (dyabła na usługach), żeby mierzył strzelbą, bo Józio byłby nie trafił. A wiecie za co się mścił starościc? Za to, żeście nie jechali służyć do mszy św., którą zakupił. Ho! ho! nie darmo gadają, że on Farmazon! Co chce, tak być musi. Powiadają, że choć do gospodarstwa się nie miesza, to przecie wie o wszystkiem, co się dzieje i psy mu o tem donoszą. To nic jeszcze! On widzi na mil pięć i dalej. Pewnego roku począł na gwałt dzwonić w swoją sygnaturkę. Rządzca, wiedząc, że tym sposobem go wzywa, spieszy. A starościc do niego z kiepska po polsku: „W Krasniku we dworze wybuchł pożar, zberaj ludie i marsz na pomoc“. Rządzca ze zdziwieniem pozierał, mniemając, że starościcowi się przywidziało — bo któżby dojrzał tak daleko, opętanych cztery mile. Ale starościc począł się niecierpliwić. „Prędko! prędko! — mówił — przykładając jakieś dyabelskie świecące narzędzie do oka — bo feuer wielki wciąż się wzmaga“. Ot, zwyczajnie Farmazon niesamowity — kto go wie, co siedziało w tej rurze, co do oka przykładał.

Postraszeni opowiadaniem starego zakrystyana, nie namyślając się długo, obydwa z Józefem oddaliśmy mu nowiutkie dukaty, pochodzące z strasznych rąk starościca, i nie wzdragał się przyjąć takowych, prawdopodobnie dla siebie je zachowując, mimo jego zapewnień, że je w ogień wrzuci, jako „inkluzy“. Przy tej sposobności wyłożył nam zakrystyan, co to jest „inkluz“. Twierdził on, że tym ludziom, którzy duszę swą czartowi zaprzedali, daje on monetę złotą lub srebrną, która posiada tę właściwość, iż wydana, napowrót do miecha swego właściciela wraca. Są wszakże sposoby zneutralizowania siły nieczystej podobnych „inkluzów“, że nie wracają już do dawnego swego właściciela i z równą cnotą powrotu przyjmują służbę u nowego właściciela. Podobne antidotum mieści się w posoce psa barwy zupełnie czarnej, lecz pies ten powinien być pierworodnym i na świat przyjść nie ślepo. Posoką podobnego psa pomazany inkluz staje się własnością nowego właściciela.

Podziwiałem wszechwiedzę zakrystyana, będącego w oczach naszych zawsze osobą na pół duchowną.

Lecz skończyły się moje dni swobody. Pewnego wieczora zjechał do Nabroża stary Semko Zabołotny, niegdyś sługa mojego rodzica a na razie gospodarz rolny w Wierbiążu. Pan rodzic, nie mogąc sam jechać — osobliwie gdy dwaj starsi bracia moi, Stefan i Wincenty, opuścili strzechę rodzinną, zaciągnąwszy się do wielkiej armii Napoleona I. — wysłał po mnie swego zaufańca i swoją kałamaszkę jego końmi, zaliczając za to w odrobek 9 dni pańszczyzny.

Otóż następnego poranka, kałamaszką suto wyładowaną prowiantami, z żalem pożegnawszy ks. kanonika, wikarego i wszystkich domowych, ruszyliśmy ku domowi. Do Wierbiąża było z Nabroża około mil dwunastu. Mniej powolnymi końmi niż starego Semka, oraz z mniejszą ilością popasów, które systematycznie, prawdziwie chłopskim obyczajem, Semko co trzecia karczma urządzał, podróż cała niedłużej nad dobę trwać była powinna. My wszakże jechaliśmy całych trzy doby, wlekąc się prawdziwie „jak z garnkami na jarmark“, powolutku a ostrożnie piaszczystą drogą, przeważnie lasami ordynacyi Zamojskiej. Gdy droga wypadała polami, ja dla zabicia nudów „ściągałem“ krasnowronki z półkopków żytnych; wziąłem bowiem strzelbę, darowaną mi przez kapitana w Zamościu. Gdy droga wiodła lasem, przysiadałem się na kałamaszkę, a natenczas toczyła się pogadanka z starym Semkiem, który jako bywalec, co to nie z jednego pieca chleb jadał — wiele miał do opowiadania. A miał zwyczaj, ogółem starców, chwalić dawne a ganić nowe czasy.

— A pokaż-no mi — (przemawiał do mnie przez „ty“, obyczajem starych sług) — tę swoją strzelbinę. No! no! Boże odpuść, czego to Niemcy nie wymyślą. Strzelbina mała, kaliber, ot, nie tak jak dawniej, co to trzy palce wetkniesz, prochu wsyp z pół garści, tyleż siekańca toczonego — a jak gruchniesz, zwierzyna ino fik! A z tych nowomodnych, jak strzelisz, to zwierz, choć trafiony, idzie pół mili jeszcze i najczęściej przepadnie. Nasz pan łowczyc Gintowt z Budynina, nieboszczyk p. Wincenty Ubysz z Woronowa, i wielu jeszcze prawdziwych dawnych myśliwych, za nic w świecie nie strzelaliby z podobnej nowomodnej laseczki.

Polujemy raz w Budyninie. Pan łowczyc Gintowt, choć miał wtenczas lat 40, mimo to wobec matki swojej nie miał jeszcze woli własnej. Mówi do gości, co się byli na te, przez panią Łowczynę proszone łowy zjechali: „Jedźcież na razie sami, bowiem ja pierw muszę z mamą odmówić godzinki, potem ją uspić, bo zwykle po drugiem śniadaniu zasypia staruszka 85-letnia, co gdy uskutecznię znajdę się w kniei“. Pojechaliśmy tedy, podłożyli psy. No! zwierzyny było dość, nie tak jak dziś, tfu! Już drugi miot zajęliśmy, w pierwszym ubiwszy trzy dziki, pięć sarn i coś tam lisów i szaraków, a tu pana łowczyca jak nie ma, tak nie ma. Ano mówi ojciec twój: „Pewnie stara łowczyna marudzi jak dziecko, nie chcąc zasnąć, toż ją syn jedynak opuścić nie może. A korci go tam, korci. Może całkiem nie przybędzie“. Psy ucięły były na chwilę, więc cicho w lesie, że słychać, jak sojki się drą — a wtem w dalszym lesie padł strzał, ale jaki, jakby z armaty kto wywalił. „Ho! — mówi ojciec twój — to łowczyca maruszka huknęła. Ale co on w tej stronie lasa robi? Musiał coś ubić, bo nie zwykł chybiać. Ano czekajmy“. Czekamy, czekamy, czekamy — łowczyca nie widać. Tedy pan ojciec, strąbiwszy kilku panów, powiada: „Idźmy w stronę gdzie padł strzał, bom coś niespokojny“. Byłem i ja pomiędzy panami, poszliśmy. Patrzymy, a w dali pomyka klacz wierzchowa łowczyca „dropiata“. Coś w tem złego, więc podwajamy kroku i spostrzegamy rzecz niezwykłą. Na halawce łowczyc z dobytym kordelasem odpiera atak ogromnego odyńca. Co się okara rzuci z impetem na łowczyca, ten pchnie kordelasem i na bok odskoczy. A wszystko to, jakkolwiek dość jeszcze daleko, widać, bo łowczyc chłop olbrzymi. Odyniec, prawdziwy „smolarz“, straszny, szczeć na nim zjeżona, fałatami pianę z paszczy wyrzuca. Podbiegamy — ojciec twój rzecze: „Palnę do dzika“ — i już się

składa. Na to łowczyc krzyczy: „Nie strzelaj, sam się z nim uporam“. Na szczęście nadeszły gończaki — a były rosłe i biercze — nuż obcesem do odyńca, poczęły go szarpać za szynki. Obrócił się do nich młynka zakręciwszy, fuknął — odskoczyły psiska, a on znów na łowczyca. Jeden z ogarów wskoczył tedy na grzbiet dzikowi, pragnąc porwać go za kark, ale dzik machnął szablami i psisko spadło na ziemię z rozwalonym brzuchem. To zbawiło łowczyca. Zacięty, nie dopuszczał strzału którego z naszych, a korzystając z chwilki, gdy się odyniec zabawiał z gończakiem, wbił mu kordelas po sam gifes w komorę. O kilkadziesiąt kroków oddaleni, z zapartym oddechem w piersi, przypatrywaliśmy się całej tej rozprawie. Gdy dzik, po olbrzymim skoku, runął na ziemię, psy go kupą osiadły, a łowczyc wykrzyknął *vivat!* cośmy piersią pełną powtórzyli.

Dość na razie było tego polowania. Po wypiciu sporego kielicha wódki, łowczyc, jakkolwiek nie nałogowy, do dna wycedził swoją manierkę na pokrzepienie znużonych sił, sporą bowiem miał robotę z odyńcem ogromnych rozmiarów. Uspokoiwszy się „wziął“ opowiadać, że chcąc uspić mamę, czytał żywoty świętych pańskich, ale czytał piąte przez dziesiąte, bo z lasu dochodziło go granie ogarów. Trochę więc z roztargnienia, a trochę z umysłu, począł mylić czytanie, przekładając po dwie na raz karty, tak, że się aż staruszka spostrzegła i łajała, a radziła, aby zażył tabaki, to go otrzeźwi. Zasnęła wreszcie, więc łowczyc dopadł dropiatej, strzelbę w „wytok“ i prze co duch do lasa, gdzieśmy polowali. Właśnie wjechał „na kręte“, aż tu sadzi stadko dzików, wynosząc się w inne mioty. Łowczyc poparł więc dropiatę zaskakując dzikom na przełaj, a odyniec, który wiódł stado, wyszedł na niego na sztych. Odwodzi kurek, a dropiatej odwodzenie kurka traf! traf! -- to już rozkaz — stoi jak mur w czasie strzału. Palnął, lecz zgórował — więc skoczywszy na bok, zsiadł z dropiatej i poczęła się walka z odyńcem, na którąśmy przybyli. Ubity odyniec wzdłuż grzbietu zdartą miał skórę od kuli, niemniej kilka ran na karku od dźgnięć kordelasem. Niesposób było łowczycowi ugodzić w pierś, bo „gwizd“ odyńca, naprzód wytknięty, uniemożliwiał trafne pchnięcie. Ej klacz bo to była, ta dropiata łowczyca, rozłożysta, średnia, rącza i...

— Stój! — zawołał w tej chwili ktoś niespodzianie, zatrzymując konięta i rozgadanego Semka.

Patrzym — trzech chłopów jak dęby, brudnych i obszarpanych, zaszło nam drogę. Ja, zwyczajnie dzieciuch, w płacz, lecz i stary Semko minę miał dość wylękłą. Ano, myślałem sobie, opadli nas rozbójnicy. Każdy z nich za pasem miał siekierę, a w ręku sporą pałkę.

— Czoho choczete wid nas lude — przemówił Semko po rusku — hroszy ne majem, ot, wezu detynu ze szkoły.

— Nam nic do toho — przemówił najbliżej stojący napastnik — pidit z namy do Wasyla.

I nie wdając się w dalsze dyskusye, opryszek trzymający konie, skierował je z drogi głównej na wąską jakąś, ciemnym lasem wiodącą drożynę. No i pojechaliśmy gdzie przykazano.

Jazda z mnóstwem wykrętasów pomiędzy drzewami lub wywrotami, zawalającymi drogą, trwała około dwu godzin. Dojechaliśmy wreszcie do obozowiska bandy, jak sądziłem, zbójców. W środku polanki, ogrodzonej zasiekami z powalonych sosen i dębów, stało kilka szałasów z choiny sosnowej, a duże ognisko gorzało na „rynku“ obozowiska. Semkowi kazano udać się do Wasyla, przywódzcy tej bandy, a mnie pozostawiono w kałamaszce. Rzewnie począłem płakać. Na to mówi do mnie młody obdartus, stojący przy wozie na straży.

— Ne płacz hołubku, ta my ne rozbijnyki ino rekruty.

— To wy żowniry — powiedziałem już śmielej, ujęty łagodnem obejściem się i poczciwym wyrazem twarzy mojego strażnika.

— Oj, ni. My, nechotiwszy buty żowniramy, utekłyśmo ze seła aż tu do lisa.

Powrócił Semko zupełnie uspokojony — a ująwszy konie za uzdeczki, wjechał z wozem w środek zasieku.

Podprowadzono mnie przed owego Wasyla. Nie był tak strasznym, jak go sobie wyobrażałem. Mocno mnie zdziwiły łzy, które począł wylewać na mój widok.

— Oj! ta ja takoho synoczka połyszyw doma! — zawołał porywając mnie w ramiona.

Nie minęło pół godziny, a z wszystkimi dwudziestoma parobkami byłem już za pan brat. I ja i Semen musieliśmy zdać dokładny raport, gdzie stoi wojsko austryackie, czy nie słyszeliśmy o jakiej tropić ich mającej obławie i czy jakie inne wojsko nie idzie. Pytałem tych biedaków, czy tylko przed austryackiem wojskiem uciekają?

— Ot — odpowiedział mi Wasyl po chłopsku, skrobiąc się po za ucho — pered to tym i tamtym.

Czaty ich na drodze rozstawione nie miały na względzie rabunku pieniędzy. Czynili to jedynie dla dostania języka o zamysłach władz pod względem szukania za nimi po lasach, niemniej dla uzyskania żywności, o którą w głębi tych lasów, zdala od wsi, nie było łatwo. Głodne to było, obdarte biedactwo. Jakże przydał się prowiant, którym nas zaopatrzył kanonik Nabrozki. Pieczone kury, masło itp. rzeczy służyły tym nędzarzom za omastę ich nędznej strawy.

Jazda do obozu i indagacye sporo zajęły nam czasu, nie pora już była ruszać nam w dalszą podróż, zanocowaliśmy tedy między zbiegami. Nigdy nie zapomnę owego po raz pierwszy w życiu noclegu w lesie, w tej zapadłej puszczy leśnej. Ciszę przerywały tylko niekiedy dziwne głosy sów. Niekiedy ptak leśny, zwiedziony blaskiem ognisk obozowych, które z umysłu dla odstraszania wilków, straż nocna suchym łomem podsycała — mniemając, że to świt, wprost leciał ku onemu blaskowi i wpadłszy pomiędzy drzewa, łopotał po nich skrzydłami w konarach się zaplątawszy. Mimo niezwykłości miejsca i otoczenia było mi jakoś swojsko; toż zasnąłem twardo i aż mnie obudził ruch w obozowisku i krzątanie się Semka około koni.

Na wyjezdnem rzecze do mnie Wasyl:

— Hołubczyku, połyszy nam twoju rusznyczku — nam ona potrebnijsza. Ot, gdy ne bude szczo isty, ubijem zwirynu i pożywim sia, bo Hospod Boh znaje jak dowho jeszcze toi bidy naszy...

Oddałem tedy tę moją pamiątkę, choć nie powiem, żeby zbyt chętnie. Prosił — a mógł wydrzeć przecie.

Zanim ruszyliśmy, Semko, nie mniej i ja, przysięgnąć musieliśmy, że przed nikim nie zdradzimy miejsca schroniska tej zbiegów wojskowych drużyny. Poczem jeden z parobków, innymi niźli publiczna, drogami, a raczej manowcami przeprowadził nas w pobliże wsi, którą Semko znając, mniej leśną już drogą ruszył ku Warężowi.

...Oto opowiadanie starego, nieżyjącego już dawno Poraja, tak jak go pamięć moja zachowała.

Nasze kaczki dzikie.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

napisał

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

Ulubionymi kaczki wodami są wody stojące. Tam najwięcej żeru, bo tam się woda najmocniej ogrzewa, tam w słońcu igra największa ilość żyjątek, a wreszcie tam tylko porastają rozmaite rośliny, służące kaczce bądź za żer, bądź za schronisko, lub miejsca na gniazda. To też zazwyczaj unika ona wartko płynących wód, a gdy usiada na takowych, to zawsze przy brzegu, gdzie szybkość i prąd najsłabsze. Lubuje się za to w spokojnych zatokach i przystaniach, gdzie strzała prądu wody niedochodzi.

Jedynie tylko w późnej jesieni, lub wczesną wiosną, gdy stojące wody lodami jeszcze pokryte, a rzeki od brzegów również zamarzły i tylko środkiem mknie wartka struga wody, obsiadają nieraz krocie tego ptactwa brzegi lodem i śniegiem pokryte. Podczas gdy jedne na brzegu odpoczywają, wiosłują inne z całem wytężeniem na wodzie, i wyłażą po niedługiem tak mozolnem żerowaniu na brzeg dla odpoczynku. Są wtenczas niesłychanie ostrożne i prawie w żaden sposób podejść się nie dadzą. I nie dziw, wszak to tysiące oczu patrzy, tysiące uszu słucha, a połowa tyle lichych nosów, ale zawsze nosów wietrzy niebezpieczeństwo. Zbiorowiska takie na płynących wodach w późnej jesieni są wskazówką wkrótce nastąpić mającej dalszej wędrówki, na wiosnę zaś każą się domyślać, że na południu, wskutek posuchy, zcieśnił się teren do żerowania i wędrówka była konieczną.

Niemniej także gromadzą się kaczki w niezliczonych ilościach po ukończonym wychowie młodzieży, gdy w pewnych miejscach znaczny żer się nadarzy.

Nie zatrą się nigdy w mej pamięci owe chmary kaczek rozmaitych odmian, jakie widziałem w r. 1884., gdy z końcem sierpnia, leniwe wody rzeki Wereszycy wylały, zatapiając ogromne obszary dawnych stawisk i łąk w około. Czyste źwierciadło wód czerniło się, jak daleko okiem sięgnąć było można, od nagromadzonego ptactwa, a w trawach i trzcinach wrzało życie i ruch. Wsiadłem wtenczas na łódkę przy grobli we wsi Czułowice i puściłem się na środek dawnego stawiska. Już po czystej płynąc wodzie, widziałem krocie zrywającego się ptactwa, cienie ćmiły powietrze, a świst i szum lotów i zrywaniem się wywoływany szelest, łączył się w jeden potężny akord. Wszystkie kaczki zrywały się w oddaleniu takiem, że strzał był niepodobny, i albo „jechały“ wprost na dalsze płaszczyzny wód, zapadając z pluskiem, albo wznosiły się w górę, i jakby przedrwiwając sobie, krążyły kilka razy nad łódką w wysokości niedoścignionej strzałem, a wreszcie gubiły się gdzieś wśród traw i oczeretów.

Lecz i ten niezwykły obraz blednie w obec zjawiska, którego byłem świadkiem, gdy łódka dotknęła krawędzi trzcin i szuwarów. Zdaleka jeszcze dolatywały mnie z traw rozmaitego rodzaju głośne rozmowy w kaczym języku; były tam rozmaite brzmienia, po dwa razy powtarzane: krzek, krzek, kwek kwak, kwak kwek, wek, wak wak, recz i reb reb. Z początku, gdy jeszcze byłem daleko, przeważały w tym oryginalnym chórze brzmienia pierwsze, później brały górę coraz więcej ostre brzmienia końcowe, a wreszcie nastąpiła dziwna cisza, jakby żywej duszy w trawach nie było. Ptactwo z otwartej powierzchni wód już się wyniosło, a łódka moja posuwała się zwolna w tej ciszy po jaskrawym przy zachodzie słońca lustrze wody, do kraju zarośli. Lecz za pierwszem dotknięciem źdźbła traw o ściany łódki, wzniosły się tak gęste chmury kaczek, że odurzony tym widokiem, stałem w łodzi zapatrzony w niezwykłe zjawisko, i wyznaję, że zapomniałem o strzale:

„Słysząc krzyki i gwar dziki,
Patrząc na te ptasie zwady,
Tak się dziwnie w myśli plecie,
Tak się tonie w ptasiej wrzawie,
Iż zapomniał człek o świecie...

Otóż i ja oślepiony i głuchy na wszelkie zewnętrzne wrażenia, myślałem w tej chwili o tej pojedynczej, a tak wyrazistej ptasiej mowie, którą człowiek w swej zarozumiałości i w swych antropocentrycznych urojeniach, odmówił swej „starszej braci“, jak zwierzęta nazywa Herder, chyba tylko dla tego, że mowy tej zrozumieć nie zdołał, a w obec tego zawstydził go fakt, jak wspomina W. Wundt, w swym dziele o zasadach psychologii, „iż zdarzają się psy, rozumiejące znacznie więcej z naszego języka, aniżeli my z języka psów pojąć jesteśmy zdolni“.

Inną razą, a było to wcześnie na wiosnę r. 1887., pojawiły się nad Dniestrem ogromne stada kaczek i obsiadły brzegi na kilka kilometrów wzdłuż. Na brzegach tych były jeszcze śniegi i lody, bagna i wody stojące pozamarzane, a tylko środkiem rzeki przebijała się tu i owdzie strzała płynącej wody. W obec tego, że koryto rzeki wyrznięte jest tutaj w terenie gliniastym, o wysokich i urwistych brzegach, na których wzdłuż rozsiadły się sady, zdawałoby się, że zajście tego ptactwa z bronią w ręce, należeć będzie do najłatwiejszych rzeczy. A jednak, pomimo, iż skradałem się z wszelką ostrożnością, będąc zupełnie brzegiem zakryty, zrywały się kaczki całymi chmarami w odległości przeszło 100 kroków, tak, iż pomimo grubego w lufkach śrótu, zaniechałem strzału.

Kaczka, siedząc na miejscu odkrytem, i to w wielkich masach, do tego stopnia staje się ostrożną, że podejście jej nawet „chyłym borem, czarnym szlakiem“ — jak mówi stare przysłowie łowieckie — do bardzo trudnych rzeczy należy.

Z tego, co o wędrówkach kaczek już powiedziałem, wynika samo przez się, że trudną jest rzeczą oznaczyć choć w przybliżeniu porę odlotów i przylotów tego ptaka; w każdym razie termina te muszą być bardzo oddalone od siebie. Pominąwszy kaczki, pozostające u nas przez zimę, pojawiają się większe stada najwcześniej z początkiem marca, a odlatują z końcem października. Zwykle wyprzedzają drobne odmiany cyranek przylot innych; również te same odmiany najpóźniej odlatują. Wszystkie odmiany nie znikają nagle, lecz gubią się powoli, odlatując stadkami z kilkunastu, kilkadziesiąt, a nawet kilkuset sztuk złożonymi. Dopiero

w miejscach odpoczynków i żerowisk, zbierają się jakby na dane *rendez vous*, żerują wspólnie, a wreszcie zrywają się znów do dalszej „jazdy“.

Podróże te odbywają się zwykle o zachodzie słońca, nawet, gdy noc zapadnie, i gdy tylko jaki taki jeszcze brzask od zachodu przyświeca, niemniej w nocach księżycowych. Porą ranną podróżują kaczki jeszcze w mroku nocnym. Gdy słońce zejdzie, zapadają, a dnie przesiadują cicho na wodach, lub w trawach podmokłych. Podczas nocy, niezupełnie ciemnych, daje się często słyszeć w powietrzu poświst charakterystyczny ich lotów, to znów przeraźliwe kwaknięcie się odezwie. Podlatują one w niezbyt wielkiej wysokości, i i tylko w ten sposób zdradzają się, bo oko nie wstanie ich dojrzeć w cieniach nocy. Podczas zupełnie ciemnych nocy, wszelka wędrówka ustaje, spoczywają wtenczas na wodach, wyczekując brzasku. W porze południowej w ogóle najmniej okazują kaczki ruchliwości; niechętnie i chyba spłoszone czemś porywają się, a wiele spi w trawach, stojąc na jednej nodze, lub leżąc na piersiach, inne pływając, śnią o dalszej podróży, z główką pod lotem ułożoną.

Jakkolwiek obie płci łączą się w podróżne stada, to pewna jednak, że jak z wiosny przeważną awangardę stanowią kaczory, tak w jesieni straż tylna znów przeważnie z nich się składa. Czy kaczki podczas swej wędrówki rozstawiają czaty, podobnie jak to czynią inne wędrowne ptaki, tego dociec nie podobna, to pewna jednak, że podczas wędrówek, każda jest nadzwyczaj czujna i ostrożna. Jakkolwiek ptactwo to w jeździe gromadnej nie zachowuje tak ściśle szyków pewnych, jak gęsi dzikie lub żórawie, wszelako zawsze da się tu dostrzec pewien porządek, pomimo chwilowego zamięszania kształtu gromad ciągnących. Kaczki krzyżowe zbliżają się do długo rozciągniętego szeregu, cyranki zaś lecą gromadkami, kończącemi się klinowato.

Podróż kaczki dzikiej nie bywa zbyt daleką; ptak, goniący za żerem, w najlepszym razie już za chroniącym pasmem Karpat znajduje wygodne do przezimowania miejsca, a według okoliczności pomyka dalej, gdzie błyszczą wielkie, a ciepłe limany rzek czarnomorskich, słynne moczary Dobrudczy, przy ujściu Dunaju, inne zaś, dążą jeszcze dalej na południe, przelatują Bałkany, inne wreszcie gromadzą się na wielkich jeziorach środkowo-azyatyckich.

W kraju naszym, każdy prawie rok różni się co do ilości gnieżdżących się kaczek. Pamiętam lata, gdzie kaczka była rzadkiem zjawiskiem, podczas gdy w latach innych staje się zbyt pospolitą. Zależy to od klimatycznych stosunków na wiosnę. Jeżeli w skutek obfitych opadów, lub roztopów śniegowicy, wytworzą się z wiosny dłuższy czas stojące wody, gdy wśród nizinnych łąk i lasów stoją kałuże i jeziorka, podtrzymywane pomniejszymi opadami, aż do czasu, gdy kaczka myśli o składaniu jaj, to masami pozostają na naszych wodach i błotach, a pokolenia wychowane u nas pozostają nadal, pomimo że wody znikły i zmniejszył się żer. W latach takich na szczupłych wodach gromadzą się ogromne ilości kaczek, a polowania są w takich warunkach najkorzystniejsze; przeciwnie, gdy pora mokra trwa dalej, masy rozstrzelają się na wielkich obszarach i polowanie staje się o wiele mozolniejszem.

Pojawienie się kaczek na wiosnę, ożywiać zaczyna całą naszą krainę. Przerwanym jest śmiertelny spokój zimy, bo ptactwo to, przedewszystkiem towarzyskie i wesołe, zaludnia tak obfite z wiosną wody i niesie gwarne życie w najskrytsze komesze i zaułki. Niektóre odmiany, powracające tylko przez nasz kraj do swej północnej ojczyzny, spoczną czasem chwilowo na naszych bagnach i wodach, lecz już po zachodzie słońca, pomyka dalej obca ta drużyna, dążąc do wybrzeży Bałtyku, do wielkich jezior w północnej Rosyi, a nawet przelatuje Bałtyk i w Szwecyi lub Norwegii lato przepędza.

Wprawne oko, na pierwszy rzut oka, poznaje w locie owych mieszkańców wód i ziem obcych, bądź po locie, bądź po wydawanych podczas jazdy głosach. Różne te odmiany nie zatrzymują się nigdy długo w podróży, z gorączkową niecierpliwością i niepokojem zdążają do celów swych, osobliwie w jesieni, a pojedyńcze egzemplarze, ubite u nas w kraju, a zdobiące muzea, są po największej części wydarte z licznych gromad podróżnych.

Strzały do wędrujących kaczek udają się czasami, bo ptactwo leci nieraz wcale nie wysoko. Zwykle wędrują kaczki w wysokości niedoścignionej strzałem 200 do 300 kroków nad ziemią, zdarza się jednak, że lecą nisko zupełnie, to znów wznoszą się do wysokości 1.000 kroków. Zależy to od prądów atmosferycznych, które kaczka, jak w ogóle wszystkie ptaki, umie wyzyskać doskonale na swą korzyść. Jest ona wprawdzie bardzo dobrym latawcem, ale przymiot ten okupuje znacznem wysileniem, mając skrzydła nie długie, stosunkowo do jajowatego, ciężkiego tułowia. Szybkość lotu osiąga za pomocą gwałtownego ruchu skrzydeł, a głowę wyciąga w locie naprzód, aby w ten sposób środek ciężkości ciała, o ile możności w okolicę ramion przesunąć, niemniej tem łatwiej zwalczać opór powietrza przed sobą. Forsę tę w poruszaniu skrzydłami najlepiej uwydatnia znany świst, jakie w locie przeważna część odmian kaczek wydaje.

C. d. n.

KORESPONDENCYE.

Z pod Czortkowa w styczniu 1891.

(Arcyksiąże w Wysuczce).

Należy się „Łowcowi“ obszerniejsze sprawozdanie z jednego z najpiękniejszych polowań w tym sezonie, a mianowicie z łowów, odbytych w znanej kniei p. Tadeusza Golejewskiego-Czarkowskiego w Wysuczce.

D. 6. stycznia wieczorem przyjechaliśmy do Czortkowa. Dworzec był oświetlony pochodniami, a p. Czarkowski z panem starostą Niewiadomskim i masą publiczności powitali arcyksięciu Leopolda Salwatora, który wraz z nami na polowanie przyjechał. Pan starosta z prawdziwie staropolską gościnnością przyjął wszystkich na łowy przybyłych wyborną wieczerzą, poczem o godz. 9 ruszyliśmy w kilkanaście sań z pochodniami, dobrym kłusem do Wysuczki. Etykieta była wyjątkowo i w podróży i w Wysuczce wykluczoną, do obiadu zasiadaliśmy w tużurkach, a gościnność gospodarza, miła,

niewymuszona, niekrępująca dodawała swobody, tak, że wszystko przyczyniało się do wybornych humorów.

Arcyksiąże jest bardzo miłym towarzyszem łowów, młody, przystojny, wielce dystyngowany, wesoły, lubiący pasyami polowanie, przytem dobry myśliwy, dobry strzelec, to też pokochaliśmy go serdecznie, a gdy wyjeżdżał, żegnaliśmy z prawdziwym żalem.

Polowanie wypadło świetnie. Arcyksiąże polował 4 dni, to jest 7., 8., 9. i 10. stycznia, a lista ubitej zwierzyny jest następująca:

Arcyksiąże położył: 1 lisa, 4 rogacze, 18 zajęcy, 4 sztuki ptactwa drapieżnego; hr. Leopold Starzeński: 1 dzika, 1 rogacza, 17 zajęcy; Pułkownik Dylewski 8 zajęcy; Kapitan Pregler 13 zajęcy; Eugeniusz Abrahamowicz 1 rogacza, 12 zajęcy; Wiktor Abrahamowicz: 1 rogacza, 1 lisa, 18 zajęcy; Dzierżek 10 zajęcy; Bielański 1 rogacza, 4 zające; Tadeusz Golejewski-Czarkowski 2 rogacze, 23 zajęcy; Bogusław Horodyński 2 rogacze; Antoni Czarkowski: 1 dzika, 2 rogacze, 21 zajęcy; Marceli Tyszkiewicz 1 lisa, 20 zajęcy; służba leśna 2 rogacze 23 zajęcy. Razem sztuk 227.

Zwierzyny mogło paść znacznie więcej, ale zające były przeważnie w polu, a jeden dzień, to jest 9. stycznia, mieliśmy cały dzień deszcz, a braliśmy najlepsze mioty Piszczatynieckie.

Po wyjeździe arcyksięcia polowaliśmy jeszcze w sześć strzelb w dniach 12., 13. i 14. stycznia w prześlicznych ściankach Podolskich. Zabito tam 1 rogacza i 81 zajęcy. D. 15. zaś urządził nam polowanie pan starosta w Czarnym Lesie w Czortkowie w 9 strzelb. W pięciu miotach padło tu 60 zajęcy. Mogło paść bez porównania więcej, ale mioty, za duże na 12 strzelców, słabo były obsadzone. Strzelano także do dużego odyńca, który wszakże uszedł mocno farbując. *Marceli Tyszkiewicz.*

Kamienna 4. stycznia 1891.

(Stan zwierzyny łownej).

Mimo, iż i wiosna i lato były bardzo sprzyjające dla zajęcy, oczekiwania myśliwych jednak zawiodły. Ja sam spodziewałem się nierównie więcej drobnej zwierzyny, niż rezultaty odbytych polowań wykazują. Knieje jak Turka, Kamionki Wielkie, gdzie się od zajęcy roiło, w tym roku niedopisały wcale. Co do Kamionek, jest jeszcze inna przyczyna złego stanu zwierzyny. Jest tam bowiem dzierżawcą gminnego polowania, nie właściciel majątku, ale ktoś obcy, i zapewne przez jesień z wyżłem w polu zostały zające wystrzelane. Jeśli tak dłużej potrwa, to do lat kilku knieja Kamionek Wielkich zupełnie się przeistoczy, bo będzie sarn kilka razy tyle, co zajęcy. Już w tym roku na ubitych 21 kozłów, padło tylko pięćdziesiąt kilka zajęcy.

Co do Turki, to trudno, by gdzie staranniej około zwierzyny chodzono jak tam, a jednak zajęcy znacznie mniej niż przedtem. Tu przyczyny szukać trzeba tylko w naturze, to jest w jakiejś chorobie, która szaraki zdecymowała. Na odbytem polowaniu padło tylko 70 zajęcy i 11 kozłów, ale był temu i dzień winien, a mianowicie zawieja śniegowa tego rodzaju, iż zająca nagonka w żaden sposób wygnać nie mogła, a kozła i najwprawniejszy myśliwy przepuszczał, bo czasem niepodobna było i oczu otworzyć. Gdyby nie zadymka, toby i 30 kozłów mogło być na rozkładzie. Co do tych ostatnich, to prawdziwie pocieszający objaw, stan sarn bowiem tak się podniósł od kilku lat, iż tam nawet, gdzie przed laty o sarnie słychać nie było, jest ich dziś dosyć, a prawie każda knieja lepsza obfituje w takowe.

Za lat kilka stanie się i cietrzew ozdobą naszych kniei, jest bowiem dziś dość rozprzestrzeniony, a ponieważ to ptak dosyć ostrożny, więc i rozmnożenie jego jest łatwiejsze. Największym wrogiem cietrzewia jest pastuch, wybierający jaja z gniazda na jajecznicę, i ten też największe spustoszenia czyni. Gdyby nie to, na tysiące możnaby liczyć tego pięknego ptaka. Obecnie, śród zimy, nieraz widzę w mojej okolicy po kilkadziesiąt sztuk razem; zdawałoby się zatem, że i młodych tysiące będą, tymczasem sprytny pastuszek wybierze gniazdo i znów tylko jedna kura zostanie.

Z kuropatwami dzieje się jeszcze gorzej, prawie znikły w naszych stronach; dawniej było dużo, dziś, gdy naturalne remizy cierniowe po kilkadziesiąt morgów wytrzebione zostały, przepadły i kuropatwy. I chociaż ten i ów myśliwy je szanuje, to się znajdą tacy, co śród zimy pod chałupami i stodołami je wybijają, albo inni, którzy, jeszcze gdy mało co większa od przepiórki, z wyżłem je wybiorą. Słowem, jeśli tak dalej pójdzie, to w naszych stronach będzie kuropatwa rzadkością.

Dziki w tym roku tylko w gdzie niektórych miejscowościach przebywają, w kniejach zaś, gdzie stale były, nie ma ich wcale. Smutno też podczas polowania, gdy się wie z góry, że to przyjemne dla strzelca zwierzątko nie wyjdzie pod lufę.

Spodziewam się jeszcze uczestniczyć w kilku polowaniach znaczniejszych, to nie omieszkam zdać z nich sprawę. *G. Głuchowski.*

Nowemiasto (obok Dobromila) d. 5. stycznia 1891.

(Rzadki gość.)

Wróciwszy w tej chwili z lasu, biorę pióro do ręki, by z czytelnikami „Łowca“ podzielić się niezwykłem, jak na naszą okolicę zdarzeniem, które mnie dziś spotkało. Wybrawszy się rano z jednym psem gończym do lasu, w nadziei spotkania co najwyżej dzików, zostałem niemało zdumiony, gdyż na ścieżkę, na której stałem, wypadł w odległości co najwyżej 40 kroków jeleń na połeć i przystanąwszy, zaczął mi się ciekawie przyglądać.

W pierwszej chwili osłupienia, wziąłem go za jakieś zbłąkane bydlę, a gdym już był gotów z moją dyagnozą, zmienił jeleń tak korzystne do strzału położenie i począł umykać odemnie na sztych, ukazując olbrzymi talerz. W emocyi mojej zapomniałem zrobić użytek z ekspresowej lufy mego drilinga i posłałem za nim z lewej, gładkiej, tak zwaną „Spaltkugel“, której odłamy zraniły go ciężko, lecz niestety, zdaje się tylko w pośladki, bo jeleń, mimo strasznej farby, ledwie raz po półmilowym marszu obległ, a w dalszym pościgu za nim, który, dzięki uprzejmości sąsiadów, na prawie dwumilowej przestrzeni przeprowadziłem, farbował coraz mniej, kładąc się raz tylko jeszcze, a wreszcie, przestawszy prawie zupełnie farbować, wszedł pomiędzy niezliczone ścieżki dzików, co przy obecnym stanie śniegu uniemożliwiło mi zupełnie dalszy pościg.

Jeleń ten był wspaniałym okazem, wzrostu zwykłego konia chłopskiego; ilości końców nie mogłem dopatrzyć, bo nawet czasu do drugiego strzału nie było. Jak starzy ludzie pamiętają, jest to w tej okolicy od lat czterdziestu kilku dopiero trzeci fakt pojawienia się tego królewskiego zwierza. Zdaje się, że łowy w górach, lub wilki plątające się i u nas w tym roku, spowodowały go do szukania schronienia w tak oddalonej od jego siedzib rodzinnych miejscowości.

Pominąwszy rzadkość takiego spotkania w naszych stronach, jest również nadzwyczajnem, aby, wybrawszy się w pojedynkę z jednym psem na polowanie, zetknąć się ze zwierzem jedynakiem na dziesiątkach może mil kwadratowych. Niestety jednak, rzadka taka okazya została zmarnowaną, a o moim humorze z tego powodu dośpiewają sobie resztę sami szanowni koledzy w św. Hubercie.

Aleksander Przedrzymirski.

(Szanowny korespondent donosi nam, że jeleń rzeczony został w kilkanaście dni później odnaleziony w stanie prawie zupełnego zniszczenia, przez psy i lisy rozniesiony. Na szczęście rogi o dziesięciu końcach zostały nieuszkodzone.

Przyp. Red.)

Delatyn d. 20. stycznia 1891.

(Sprawozdanie o stosunkach myśliwskich.)

Zwierzostan w tutejszej okolicy znacznie się zmniejszył, a przyczyny ubytku są następujące:

Od kilku lat zaszły z Węgier rysie, które wyjadły sarn połowę, a że te drapieżniki bardzo często na drzewach przesiadują, przeto nie łatwo je zoczyć i wytępić, zwłaszcza, że personal ledwie wystarcza do strzeżenia lasu i do manipulacyi, a za drapieżnymi zwierzętami nie ma komu chodzić, przytem i premia za ubicie rysia, w kwocie nawet 5 zł., jest za niską. Zdaniem mojem, należałoby oznaczyć za rysia najmniej 10 zł. jako premię, a za ubicie niedźwiedzia nie płacić wcale premii, gdyż niedźwiedź nie wyrządza ani dziesiątej części tej szkody co ryś, a zresztą niedźwiedź w tutejszej okolicy należy do rzadkości.

Z tych zaszłych tu rysi, wyłowiono w żelaza kilka sztuk, szczególnie samic, przez co ilość tych drapieżców znacznie się zmniejszyła, jednakowoż nie wytępiono ich jeszcze zupełnie.

Od czasu ubytku rysi, zaczyna się stan sarn zwiększać, lecz nieznacznie. Zaszło także kilkanaście sztuk jeleni w wyżej położone lasy i trzymają się w okolicy pod górą Czarnohorycia, w terytoryum gminy Łuk, gdzie mają spokój gdyż psy tam puszczać nie pozwalam.

Zające nie mogą się tu rozmnożyć z braku żywności na zimę. Oziminy tu nikt nie sieje, a na samym sianie zając wychudnie. Oprócz tego okazały się u tej zwierzyny wrzody na płucach, przez co takowa dychawiczeje.

Kłusownictwo jest tu mocno rozpowszechnionem, a to dlatego, że władze sądowe kłusowników łagodnie karzą. Przydybany na uczynku kłusownik, bywa 5-cio dniowym aresztem ukarany, a wiadomo, jak trudno go na uczynku pochwycić; ledwie 20-ty raz się to uda, gdyż jeden strażnik do schwytania kłusownika nie wystarcza; trzeba najmniej dwóch ludzi do przytrzymania kłusownika, by go zajść z dwóch stron, inaczej umknie.

Mało tu jest niestety prawdziwych myśliwych, gdyż wielu pojmuje mylnie ten zawód, mniemając, iż do myśliwstwa wystarcza celne strzelanie. Dobrze jest, jeśli myśliwy celnie strzela, gdyż nie psuje zwierzyny postrzałami, lecz nie wystarcza to do myśliwstwa. Kto celnie strzela, jest dopiero dobrym strzelcem; lecz aby był myśliwym, musi zwierzynę szanować, starać się o jej wyżywienie i takową chronić od drapieżnych zwierząt i kłusowników. Z takiem pojęciem myśliwych, w tutejszej okolicy, ledwie naliczyłbym kilku; wielu zaś jest takich, którzy strzelają bezwzględnie do wszystkiego, co pod lufę wpadnie.

Wadliwem jest wydzierzawianie polowań gminnych komu bądź, jak się to niestety u nas dzieje, a obszar 115 hektarowy, za mały jako teren dla polowania. Jabym dodał do powyższej cyfry jeszcze zero po prawej stronie.

W ustawie powiedziano, że władza polityczna ma przy licytacyi rozstrzygać, kto jest myśliwym i może do dzierzawy polowania być przypuszczonym, chociaż nie jest egzaminowanym.

Przypuszczam, że nie koniecznie być egzaminowanym myśliwym, gdyż można i bez egzaminu ten sport dobrze uprawiać, lecz czy władza polityczna może to bez fachowych ludzi rozpoznać? Dla tego myślałbym, że komisya licytacyjna powinna składać się z urzędnika politycznego, wydziałowego i dwóch znanych z prawości myśliwych egzaminowanych, i ci mieliby rozstrzygać, kogo do dzierzawy polowania przypuszczać, a kogo nie. *Krokowski.*

Z Złoczowskiego w styczniu 1891.

(Z remiz łowieckich.)

Z końcem września ubiegłego roku przez dwa dni bawiem w Stronibabach, majątku Kazimierza Obertyńskiego. Ponieważ była to pora odpowiednia dla myśliwego w polu, więc też dzień jeden poświęciliśmy jedynie polowaniu. Sam gospodarz nie strzelec, ale za to wyśmienity myśliwy, staranną i uciążliwą pracą doszedł do nader pięknego stanu zwierzyny. Zakreślone planem polowania remizy, były najlepszym dowodem, jakiej tu rozkoszy i swobody zwierzyna doznaje. Gdyśmy przed pierwszą remizą stanęli, zadziwiła mię niewymownie bujność wikliny. Pędy nader wysokie, gąszcz niesłychana utrudniała dostęp, a o strzelaniu, bez pomocy choć kilku naganiaczy, mowy być nie mogło. Remiza dokoła otoczona polami, zdala od lasu leżąca, liczyć może przeszło morg. Otoczona zewsząd rowem i wzdłuż nim przecięta, jest nie tylko idealnym schroniskiem dla zwierzyny, ale nadto ładny dochód przynosi. Gatunek łoziny, jeden z najlepszych, nosi nazwę: *Salix viminalis purpurea.* wierzba witwowata, i uchodzi za najlepszą wierzbę koszykarską.

Niemal w każdej remizie, a jest ich kilka, napotykaliśmy sarny, cietrzewie, kuropatwy, zające, a także i trzy lisy, z których dwa padły ofiarą. Przy tej sposobności nadmienić muszę dziwne zaiste spotkanie. Gospodarz stawia mię na wzgórku, koło remizy, mówiąc: „Uważaj, bo lis tu będzie“. Po takiej obiecance, będąc już pewnym strzału do mykity, staję w nadziei miłego spotkania na wskazanem stanowisku. Dodam tu jeszcze, że nie udało mi się widzieć myśliwego, tak z swą knieją obeznanego, jak p. Obertyński. Ilekroć mi powiedział, stawiając na stanowisku, będziesz miał rogacza, to w rzeczywistości, jak już nie strzelać, to przynajmniej widzieć sarny miałem przyjemność. Zakładam więc czwórkę do lufek, i zaledwie zamknąłem strzelbę, widzę, jak wąską ścieżynką, trzy lisy jeden za drugim szurują wprost na mnie. Przypuszczam więc pierwszego na 60 kroków i strzelam w łeb. Lis pierwszy został na miejscu, do dwu zaś innych strzelałem już na polu, z dość znacznej odległości i jednego ubiłem. Rezultatem ogólnym tej przechadzki łowieckiej, były 2 lisy, 5 zajęcy i 2 cietrzewie; rogacz mocno postrzelony zdołał ujść za granicę. Gdybyśmy byli mieli więcej nagonki, a przynajmniej ze trzech myśliwych, byłoby pewnie lepiej polowanie wypadło, ale na dwu myśliwych, w czterech niespełna godzinach, rezultat o ile sądzę, pomyślny. Nadto, przejeżdżając koło pastwisk, oglądaliśmy jałownik, a ponieważ stajnia stronibabska do pierwszych w kraju zaliczać się może, chcieliśmy się przeto do syta napoić widokiem zdumiewających okazów. Nie dziw więc, że w obec takiej pieczołowitości, jaką otacza gospodarz

swą zwierzynę, padło późnej jesieni, temu dwa lata, tylko w samych rewirach, w 6 strzelb, 27 kuropatw, 5 cietrzewi, 4 rogaczy i kilkanaście zajęcy.

Oby cię szanowny gospodarzu św. Hubert i nadal darzył swą łaską, a za te dni kilka, tak mile spędzonych, przyjm serdeczne „Bóg zapłać!“ *Bojomir.*

Hermanowice w styczniu 1891.

(Z wyprawy na Kaukaz. — Przejazd Gruzińskiej drogi wojennej. — Polowanie w Szamhorach w Elisawetpolskiej gubernii).

W korespondencyi mojej z dnia 20. października br.*) podałem wam opis polowania na niedźwiedzie. Łowy te były najpomyślniejsze, gdyż dalsze, pomimo usilnych starań, okazały mniej fortunny wynik.

Z Władykaukazu wyjechałem pocztową perekładną, w zamiarze dojechania do Lars, drugiej stacyi na drodze wojennej Gruzińskiej. Wyjechałem pod wieczór. Cała ta droga jest jakby olbrzymim wąwozem, po którego obu stronach piętrzą się dwa łańcuchy gór, o szczytach to równych, to na przemian wznoszących się. Im bardziej w głąb się zapuszczasz, zwłaszcza w ciemnej nocy, tem żywiej zaczyna grać twa wyobraźnia i przypominasz sobie opowieści o opryszkach i ich napadach na pocztę, którą dotąd zawsze uzbrojony jeździec konwojuje. I podróżny, czy to sam jadący, czy w towarzystwie, prawie każdy ma broń przy sobie. Już sam widok tej broni wystarcza nieraz, aby zastraszyć napastników, którzy najczęściej nie odznaczają się odwagą, i omijając zbrojnych podróżnych, czatują na ciężkie pocztowe wozy, na których się obłowić spodziewają. A to szczególne, iż łatwiej się te napady trafiają pod samym Władykaukazem lub Tyflisem, gdyż łotrzyki, dopełniwszy grabieży, zręczniej się w mieście ukryją, niż w górach, w których byliby wyśledzeni.

Dzieje się tu więc wprost przeciwnie, jak we Włoszech lub Hiszpanii, gdzie tylko w górach opryszki się trzymają.

Mógłby mi kto zarzucić, że te uwagi nie mają żadnego związku z polowaniem na zwierza. Proszę wybaczyć, jest to także coś w rodzaju polowania, bo na kieszenie podróżnych, a gdyby ktoś zapytał tych przedsiębiorców, czy oni popełnili grabież i rozbój, pewnie stanowczo odpowiedzieliby: „Wcale nie, my urządziliśmy tylko polowanie“.

Tej pozostałości bandytyzmu w kraju, który tak długo kipiał wojną, nie podobna doraźnie usunąć. Ludzie ci zanadto przywykli do wzajemnej grabieży, aby dziś mogli łatwo się od niej odzwyczaić. Lecz mnie ominęła szczęśliwie wszelka z opryszkami przygoda i bez przypadku przybyłem do Larsu.

W Larsie poczmistrz, widząc mój kompletny przybór myśliwski, w broni, rohatynie i odpowiednich pakunkach, wypytywał dokąd jadę i oświadczył, iż na całej drodze i pasmie gór najlepsza miejscowość do polowania na niedźwiedzie, jelenie, kozice, które „dżejranami“ oni nazywają, jest Pesanaur, 6ta stacya kolejowa na tej drodze, gdzie jest leśniczym Xżę B. pochodzenia ormiańskiego, nader uprzejmy i gościnny człowiek. Podążyłem więc czemprędzej do tej miejscowości. Po drodze zatrzymałem się na stacyi Kazbek, a to dla przypatrzenia się górze, istnemu olbrzymowi 16.525 stóp wysokości, prawie do dołu okrytemu śniegiem, podczas gdy na innych górach tylko u szczytu śnieg leży. Wypytywałem się tu o strzelca turów, Aleksandra Fedorowicza Szadurowa, wskazanego mi opisem rosyjskiego podróżnika, lecz odpowiedział mi jego następca, M. Hetagorow, iż Szadurow już nie żyje. Został zabity przez własnego syna, jak badania sądowe wykazały, wypadkowym sposobem, choć ja przypuszczam, że było to zabójstwo z zemsty, przytłumiającej wszelkie uczucia rodzinne w tym narodzie. Udałem zię do „sakli“ (chaty) Hetagorowa, oglądnąłem jej budowę, skóry, rogi turów, nareszcie ruchomości domowe, oryginalne i ciekawe, które wszakże dziwnie odbijały od zakopconych ścian i niegrzeszących czystością kobiet.

Ponieważ pogromca rączych i trudnych do ubicia turów nadto drożył się ze swym towarem, zatem podziękowałem mu za okazanie mi tegoż, przekonawszy się, iż był popsuty przez turystów Anglików którzy tam w lecie dla polowań przybywają. Powróciwszy na stacyę, zobowiązałem pisarza pocztowego, aby się wystarał o głowę tura dla mnie, oraz o cały okaz tegoż dla Muzeum krajowego lwowskiego. Czy moje usilne starania pomyślnym skutkiem uwieńczone będą, zaręczyć nie mogę, gdyż ogół tutejszych mieszkańców odznacza się niedotrzymywaniem słowa i umów, dosyć, że moje chęci są najlepsze, a pokładam nadzieję w szlachetnym Drze P., Rosjaninie, który stanowi wyjątek pod względem uprzejmości i gościnności, że mi w tych zamiarach dopomoże.

Z Kazbeku dojechałem do Gudauru, gdzie mnie silny deszcz zaskoczył, a następnie noc. Zjeżdżałem tu z Krestowej góry na 7.945 stóp wysokiej, po wężowatej drodze, przedstawiającej co chwila nowe niespodzianki, które, póki jeszcze widno było, zachwycały swymi obrazami. Lecz gdy się zupełnie ściemniło, a deszcz coraz bardziej dokuczał, pragnąłem jak najprędzej dostać się do stacyi Mlet i znaleść tam nocleg.

Kto nie jechał na ciasnej perekładnej w trzy osoby z mnóstwem pakunków, ten nie pojmuje, jak gruntownie przemoczonym być można, gdy deszcz leje bez przerwy. Nie pomoże duża płócienna opona, i nie ochroni ani ludzi ani rzeczy od przemoknięcia. Po przybyciu nareszcie do stacyi i spotkaniu się z samowarem, rozgrzałem strętwiały organizm.

Nazajutrz rano znowu niestety z ulewą przyszło mi wyjeżdżać, aby się raz dostać do pożądanego Pesanauru. W niespełna parę godzin to nastąpiło, i znowu przemokły do nitki, stanąłem w miejscu z nadzieją łowów. Zaraz udałem się do Xcia B. i zastałem go niezdrowego. Przedstawiłem mu się jako turysta i myśliwy, który wiele słyszał o obfitości zwierzostanu w tej okolicy i pragnie korzystać z jego uprzejmości. Prosił mnie o zajęcie mieszkania w domu jego, co przyjąłem z podziękowaniem, widząc, iż mu jako kawalerowi subjekcyi nie zrobię, doznałem zaś wszelkiej gościnności w przyjęciu, na jaką dom kawalerski stać było. Przywoławszy zaraz swych objeszczyków czyli pobereżników, wypytywał ich Xże B., czy są niedźwiedzie. Opowiadali, iż jest średnia niedźwiedzica z dwoma piastunami i że słyszeli kilka razy ryk jelenia.

Następny dzień była niedziela, w którą nie zwykłem polować. Zwołaliśmy znowu naradę nad polowaniem i w końcu uchwaliliśmy udać się dnia drugiego do sakli, oddalonych o 11 wiorstw od Pesanauru, i ztamtąd podchodzić kozice schodzące stadkami z gór.

Pojmiesz łaskawy czytelniku myśliwy, jak to wszystko ponętnem było, lecz niestety skończyło się tylko rozczarowaniem.

Ściśle podług umowy wyszedłem rano o godzinie 4ej z towarzyszącym mi w podróży służącym oraz przewodnikiem, młodym pobereżnikiem, przebyłem pięć i pół wiorsty

---

*) Patrz „Łowiec“ Nr. 11. z r. 1890.

drogi pospiesznym marszem i znalazłem się o świcie na miejscu. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy nikogo z pobereżników tam nie zastałem, a przybyły ze mną przewodnik, wdawszy się w poszukiwania za nimi, sam w końcu zaginął. Przeczekawszy półtory godziny w górskiem zimnie, wróciłem wreszcie do mieszkania leśniczego i wyraziłem mu żal z doznanego zawodu. Oburzenie gospodarza było wielkie, ale na tem się skończyło, bo nie wyczekiwałem już powrotu tych sławnych myśliwych, których kara czekała, nie mogąc po tym zawodzie liczyć na jakiekolwiek rezultaty. W parę godzin byłem na perekładnej, w kierunku ku Tyflisowi, a przejeżdżając koło mego oznaczonego stanowiska, ujrzałem pobereżników najspokojniej siedzących nad rzeką i lekceważących widocznie uczyniony mi zawód.

Dnia następnego w południe przybyłem do Tyflisu, gdzie stosownie do odebranej rekomendacyi z Władykaukazu, udałem sie do p. inżyniera B., także myśliwego który pragnął usilnie urządzić polowanie na ptaki. Udaliśmy się na takowe koleją do Szamhor w gubernii Elisawetpolskiej, o 9 godzin czyli 800 wiorst od Tyflisu. W wyprawie tej wzięło udział ośmiu myśliwych. Od stacyi do miejsca polowania przebyć trzeba było 16 wiorst furgonem tatarskim po haniebnej drodze. Za przybyciem na miejsce, myśliwi rozeszli się po stepie porosłym krzakami, w których były „turacze“, ptaki podobne kształtem do kuropatw, których upierzenie, dziwnie piękne, składa się z piór brązowych z jaśniejszymi obwódkami, a szyjka i główka są koloru hebanu. Ptaki te mają mięso białe, delikatniejsze od bażanta. Przy zrywaniu się kogut wydaje głos podobny do zwykłego koguta. „Turacze“, jak mi mówiono, znajdują się tylko w tej jedynie miejscowości na całym Kaukazie, a zdaje się, iż i tam niedługo się utrzymają, gdyż myśliwi godzą na nie zapamiętale, i gdyby nie gęstwiny kolczaste, w których się kryją, dotąd by już nie egzystowały. Oprócz tego są tam kuropatwy kamienne *(Steinhühner)* oraz zające i rzadko słonki. Nie mając psa wyżła musiałem się zadowolnić strzelaniem bocznem i deptanem. „Turacza“ nie strzelałem; dostał mi się w udziale tylko orlik brązowy z odmienną głową jaśniejszą i słonka. Towarzysze moi zabili kilka „turaczy“, kilka zajęcy i parę kamionek. Wieczór, na niedzielę, odjechałem do Tyflisu. Towarzysze pozostali i zabili dnia następnego sztuk kilkanaście, przeważnie zajęcy. Na tem skończyło się polowanie, gdyż w okolicy Tyflisu zwierzyny mało. Całą myśl skierowałem odtąd na podróż do Lenkoranu, której opis odkładam do następnej korespondencyi. *J. R.*

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Krasiczynie u ks. Adama Sapiehy odbyły się w dniach 28. i 29. grudnia łowy, w których uczestniczyli arcyksiąże Leopold Salwator, JE. namiestnik hr. Badeni, JE. br. Rheinländler, JE. fmp. Roszkowski i komenderujący korpusem lwowskim książe Windischgrätz. Łowy wypadły świetnie, gdyż ubito 140 sztuk zajęcy, 6 rogaczy, 7 lisów, 7 sztuk dzikich indyków i kilkanaście sztuk bażantów.

— W Krzeszowicach, u hr. Andrzeja Potockiego, polowano w parku 3. stycznia w ośm strzelb. Padło 100 zajęcy, 7 łań i 2 rogacze.

— W Krzyżu, pod Tarnowem, własności ks. Marszałka, Sanguszki, na polowaniu odbytem w d. 5. stycznia ubito 130 zajęcy i lisa.

— W Gorzycach, należących również do ks. Marszałka odbyło się polowanie d. 7. stycznia. Padło na niem 168 zajęcy.

— W Świerczkowie, własności ks. Marszałka Sanguszki, polowano d. 27. grudnia z. r. i ubito 50 zajęcy, 2 lisy i 2 rogacze.

— W dobrach Wysockich JW. hr. Stefana Zamoyskiego odbyły się polowania 29., 30. i 31. grudnia. Dnia 29. grudnia padło na polach 148 zajęcy, pomimo zadymki całodziennej. 30. grudnia w rewirze Maczugowskim 5 dzików, 3 lisy, 4 rogacze, 17 zajęcy; czas był piękny. 31. grudnia na polach 150 zajęcy, 3 lisy, 1 koropatwa. Czas piękny.

Razem w 7 myśliwych dziennie ubito: 5 dzików, 6 lisów, 4 rogacze, 315 zajęcy, 1 koropatwę tj. sztuk 331.

Nadleśny *Łysakowski.*

— W dobrach ordynacyi Przeworskiej odbyły się polowania w kniei w dniach 14. i 15. listopada z. r. w 8 strzelb. Ubito: 1 rogacza, 45 zajęcy, 9 lisów, 2 słonki i zdziczałego kota, ogółem sztuk 58. W polach polowano w dniach 1., 2. i 3. grudnia z. r. w 10 strzelb. Ubito: 284 zajęcy i 4 lisy, wynik słabszy niż w r. 1889, wówczas bowiem ubito w 4 dniach od 14. do 17. stycznia 442 zajęcy i 2 lisy. W zeszłym sezonie nie polowano w polach, a pomimo troskliwej ochrony i lat sprzyjających rozmnażaniu się zwierzyny, zauważyłem ubytek zajęcy w polach, spowodowany prawdopodobnie chorobą płuc i wątroby, którą na kilku okazach skonstatowałem. W lasach stan zajęcy nie zmniejszył się, pomimo znacznej ilości lisów, które wytępić usiłujemy. Wszystkie polowania odbywają się tu pod osobistem kierownictwem JO. księcia Ordynata, który jako zawołany myśliwy nie szczędzi trudów i kosztów w celu podniesienia zwierzostanu w swym okręgu, zaokrąglonym wydzierżawieniem kilkunastu polowań gminnych. Całoroczny wynik łowiecki w r. 1890 przedstawia się jak następuje: Ubito: 7 rogaczy, 385 zajęcy, 12 indyków, 40 bażantów, 90 kuropatw, 147 przepiórek, 37 słonek, 16 kaczek krzyżówek, 11 cyranek, 23 kszyków, 9 chruścieli, razem zwierzyny użytecznej sztuk 677 — dalej: 38 lisów, 1 kunę leśną, 12 tchurzów, 8 łasic, 135 psów, 83 kotów, 1 orła, 76 jastrzębi, 297 wron, 317 srok, razem zwierzyny szkodliwej sztuk 968. Ogółem za cały rok ubito 1645 sztuk. Za tępienie szkodliwej zwierzyny i odebranie 6 strzelb kłusownikom wypłacono premię w kwocie 100 zł. 89 ct. w. a.

H. Sawicki, nadleśniczy.

— W Jabłonowie, w dobrach księżnej Czartoryskiej w pow. husiatyńskim, odbyło się 22. i 23. bm. polowanie z udziałem 12 myśliwych. Ubito 10 dzików, 10 rogaczy i 63 zajęcy. Dzików widzianych w pierwszym dniu polowania było 49 sztuk.

— W Bereźnicy królewskiej, majątku pp. Stanisławostwa Pawlikowskich, polowano d. 20. stycznia. Na 100 strzałów padło 7 rogaczy, 22 zajęcy i 5 lisów.

— W Zalesiu pod Rzeszowem, u p. Ignacego Gumińskiego, polowano w dzień Wilii Bożego Narodzenia i ubito 75 zajęcy, 3 kozły i 2 lisy.

— W Chodorowskich lasach, własności baronostwa de Vaux, polowano d. 22., 23. i 24. grudnia. Pierwszego dnia w ośm strzelb ubito na śniegu dwa rogacze, 15 zajęcy i jednego lisa. W dalszych dwóch dniach padło 12 rogaczy, 39 zajęcy i 6 lisów. W kniei tej stan zwierzyny znacznie się podniósł.

— W Chłopczycach, u Karola Barańskiego, polowaliśmy dnia 16. i 17. stycznia w dziesięć strzelb z nagonką

a 18. stycznia w cztery strzelby na podjazd. Padło 18 rogaczy, 5 lisów i 39 zajęcy. Mogło więcej paść, ale mieliśmy jednego dnia haniebny mróz i zawierzuchę z zadymką śnieżną, więc zwierz w okiścią pokrytych gąszczach cofał się na nagonkę; osobliwie rogaczy wiele wykręciło się tym sposobem od śmierci. Knieje te mają wiele sarn, szczególnie w miejscach pagórkowatych; na równinach nad Dniestrem jest ich mniej, bo tam znajdują się rezydencye lisów, które trudno wybić, gdyż chodzą po łąkach i szuwarach, a gdy zobaczą człowieka, uciekają w pola. *Teofil Żurowski.*

— W Petlikowcach, dobrach hr. Juliusza Korytowkiego, odbyło się d. 14. stycznia polowanie, w kniei przeszło 300 morgowej w 9 strzelb. W pięciu godzinach, na 216 strzałów, zabito 100 zajęcy i jednego rogacza. Gdyby flanki należycie były obsadzone, mogło łatwo paść jeszcze z pół setki zajęcy i parę kozłów.

Knieja ta, również jak i sąsiednia Ossowiecka, to jak oazy, przylegające do rozległych, prawie stepowych obszarów polnych. Petlikowiecka knieja wznosi się dość stromo nad samą rzeką Strypą, tuż za wsią. Na wzgórzu przeciwległem jest dom piątrowy, w stylu włoskim, przerobiony niegdyś z zamku Potockich (Buczackich). Tu gościnny gospodarz raczył swoich gości, przy ogniu, płonącym na staroświeckim kominie. Lecz więcej niż te tradycyonalne płomienie, ogrzało gości ciepłe, serdeczne, staropolskie przyjęcie. Ze smutkiem też opuszcza się takie biesiady, bo mimowoli przychodzi na myśl, że do drugiego sezonu myśliwskiego daleko, i że w czasach dzisiejszych grom może przerwać ciszę i wystraszyć zające. Prócz szczęśliwego położenia kniei Petlikowieckiej, widać tu nadzwyczajny porządek i dbałość o pielęgnowanie zwierzyny. *Mieczysław Konopacki.*

— W Kątach odbyło się dnia 24. grudnia na Wilją polowanie, a 30. grudnia w Jasioniowie, u pana Władysława Gniewosza. Polowaliśmy w dziewięć strzelb, nie licząc straży leśnej. W Kątach padły 4 rogacze, 2 lisy i 28 zajęcy. Widziano 12 kogutów cietrzewi w jednym stadku i 6 kur w drugim. W Jasionowie padło 5 rogaczy, 7 lisów i 16 zajęcy.

W Kątach, pomimo że padło mniej rogaczy, stan sarn jest tak wielki, jak mi się nie zdarzyło spotkać w Galicyi. Braliśmy po cztery mioty na raz, nagonki było więcej, niż stu ludzi. Widziałem w każdym miocie bardzo dużo sarn. W jednym naliczyłem 27, w drugim 24, i tak każden widział, więc musiało ich być po sto w miocie, i bez przesady można powiedzieć, że się roiło! Bo też takiej opieki zażywa zwierzyna u pana Gniewosza, jak mało gdzie. Naprzykład czworo sarniąt wychowało się w ogrodzie, później odwieziono je do lasu, a sama pani przez dłuższy czas codziennie jeździła do lasu z mlekiem i karmiła je sama!

Polowaliśmy w Kątach na kilkanaście stopni mrozu z wiatrem wschodnim, pomimo tego, gosposia przywiozła nam śniadanie i pozostała do końca polowania.

Zajęcy zwykle zabijało się na tych polowaniach trzy razy więcej. W tym roku, ponieważ śniegu mało, były przeważnie w polu. Rogaczy także mało zginęło, bo sam pamiętam, że w Jasionowie padało dziennie 17, a w Kątach może być bez uszczerbku odbitych 100 starych rogaczy. Do młodych rogaczy nie strzela się u. p. Gniewosza.

Cóż jeszcze powiem? Że w Kątach mili gospodarstwo, miły dom i miłe polowanie. *Marceli Tyszkiewicz,*
Delegat brodzki.

— W Krukienicach odbyło się dnia 31. grudnia z. r. i 2. stycznia b. r. polowanie w dziesięć strzelb. Ubito 9 dzików, 7 rogaczy, 5 lisów, 27 zajęcy. Strzałów padło 115, z tych do dzików 49, do innej zwierzyny 66.

Dwa duże odyńce obtropiono w pięcio-morgowej świerczynie, a mimo stu naganiaczy, jednego tylko zdołano wygnać na łąkę; drugi widocznie z legowiska nawet nie ruszył, tak. iż prawie wszyscy myśliwi nie wierzyli, by drugi odyniec tam się znajdował. Ja wszakże, ufając w obtropienie tutejszego leśniczego, p. Katza, zarządziłem powtórne przepędzenie tego miotu i to tak, że naganiacze prawie za ręce się trzymali, i wtedy dopiero odyniec, który leżał tuż pod samymi myśliwymi, bryznął na naganiaczy w tył, lecz tu odbity wystrzałem, skierował na skrzydło linii myśliwych, gdzie rotmistrz bar. Burkhardt podbiegł i na przeszło 200 kroków powalił go z ekspresa. Odyniec ten wypatroszony ważył 148 kilogramów. *Jan Ostrzechowski.*

— W Hermanowicach, w majątku Wgo J. Rakowskiego, odbyło się d. 16. grudnia doroczne polowanie w sześć strzelb. Na niewielkiej, bo 150-cio morgowej przestrzeni, padło w trzech godzinach 23 zajęcy i 2 lisy, a więcej znacznie niż drugie tyle, oprócz tego i sarny, wyszły przez nieobstawione flanki w pole.

Nawiązując do ubitych lisów, nie mogę pominąć ciekawych szczegółów, tyczących się prochu bezdymnego. Pan W. W., znakomity myśliwy i strzelec, którego zręczność niejednokrotnie była podziwianą, skuszony nowością, przybył do Hermanowic z ładunkami, napełnionymi prochem bezdymnym. Że proch ten został wymyślony dla myśliwych, szanujących piąte przykazanie, o tem snać nie wiedział p. W., bo nie małe było jego zdziwienie, gdy mu lis po dwóch strzałach, na niewielką odległość zrulowawszy, poszedł w pole. P. W. strzela za nim znowu dwa razy i razem z lisem znika za pagórkiem. Odgłos gęstej kanonady pozwalał jednak przypuszczać, że p. W. nie stracił jeszcze zupełnie wiary w morderczość bezdymnego prochu. Tymczasem przez opuszczone stanowisko maszerują zające i lisy, a z pagórka grzmią wciąż liczne wystrzały. Wreszcie po skończonym miocie zjawia się i pan W., zadyszany, z lisem w ręku i z próżną ładownicą, w której ledwie kilka ładunków połyska, a klnie się na wszystkie świętości, że to pierwszy i ostatni raz strzela bezdymnym prochem. Dalsze strzały pozostałymi ładunkami nie przyczyniły się zupełnie do zatarcia niekorzystnego wrażenia o nowym wynalazku.

Tych słów parę o prochu bezdymnym wywoła może polemikę między myśliwymi, która w każdym razie tylko dla sprawy łowieckiej korzystną być może. *A. P.*

— W Kimirzu, własności p. Stanisława Wybranowskiego. polowano d. 3. stycznia b. r. w dziewięć strzelb i ubito na śniegu 24 zajęcy, jednego lisa, i jednego jarząbka.

— W Łukowcu, należącym do Oskrzesiniec, własności p. Michała Tustanowskiego, polowano d. 20. grudnia z. r. w trzynaście strzelb i ubito na śniegu dzików 5, rogacza jednego, zajęcy 9, i jednego lisa. Łukowiec jest knieją wyłącznie dziczą, więc do drobniejszej zwierzyny prawie się nie strzela. *Dunajowczyk.*

— W Koropcu, u hr. Mysłowskiego, odbyło się polowanie przed świętami Bożego Narodzenia. Polowano w 5 strzelb i ubito: 68 zajęcy, 2 lisy, 2 kozły i odyńca. Odyniec, rażony dwoma strzałami hr. Mysłowskiego, rzucił się z zajadłością na p. T. Ochockiego, który, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, chciał skoczyć w bok, aby pewniejszy mieć strzał, lecz nieszczęściem pośliznął się i upadł, a odyniec był już przy nim. W tej sekundzie dopadły dzika wytrawne w swojem

rzemiośle cztery psy hr. Mysłowskiego i osadziły go na miejscu, a równocześnie huknęły powtórne dwa jego celne strzały i położyły trupem rozjuszonego zwierza.

— W Babińcu i Filipkowcach, u p. Kornela Mikołajewicza, odbyły się polowania w dniach 14., 15. i 16. stycznia. Polowano przeciętnie w czternaście strzelb dziennie na przestrzeni około 200 morgów i ubito 220 zajęcy 7 kozłów i lisa.

— W Czarnołożcach, u p. Juliana Puzyny, odbyło się polowanie d. 19. listopada z. r., na którem ubito 32 zające i lisa. Na temże terytoryum, oraz dzierzawionych terenach myśliwskich w Hryniawce i Kalinie, padło po 25 stycznia 7 rogaczy, 40 zajęcy i 3 lisy.

— W Markowcach, u p. Zdzisława Ładomirskiego, ubito na polowaniu d. 3. stycznia 20 zajęcy.

— W Bukownie, własności p. Stanisława Cieńskiego, polowano d. 22. stycznia i ubito 7 rogaczy, 12 zajęcy i lisa.

— W Żukowie, w powiecie horodeńskim, własności p. Antoniego Theodorowicza, odbyło się doroczne polowanie w dniach 9. i 10. stycznia b. r. i pomimo mgły i złego stanu powietrza rezultat łowów był zadowalniający. Na 21 myśliwych padło 83 zajęcy, 7 kozłów i 2 lisy. Dziki, jak zwykle, umiały się wynieść na flanki lub wrócić na pogonkę, dowiedziawszy się przedtem, że wielu z myśliwych było zaopatrzonych w drylingi i kule eksplodujące. Przed wyjazdem na polowanie i podczas śniadania, które się odbyło w lesie, p. M. z L. odfotografował całe towarzystwo, a fotografia, przedstawiająca niektóre szczegóły myśliwskie, będzie miłem wspomnieniem z odbytych chwil.

W rewirze, w którym odbywało się polowanie, znalazła pogonka cztery sarny, zaś później straż leśna 5 sztuk sarn zamarzniętych. A nadmienić muszę, że żywności tj. siana i koniczyny mają one podostatkiem, nawet, aby przystęp do takowej był dobry, kazałem furami porobić po liniach głównych drogi. Podobna klęska sarn, z powodu wielkich mrozów i śniegów, dotknęła zapewne i inne knieje tej zimy.

E. P.

Z Królestwa polskiego.

— W Staszowie, u hr. Andrzeja Potockiego, w kilkodniowem polowaniu, zabito 702 zajęcy, 20 dzików i 10 rogaczy.

— W Moskarzewiu, w gubernii kieleckiej, dobrach hr. Augusta Stanisława Potockiego, odbyło się 18. grudnia jednodniowe polowanie, na którem w czternaście strzelb zabito 96 zajęcy, 3 rogacze i 1 cietrzewia.

— W Chrząstowie, u hr. Rodryga Potockiego, zabito na powtórnem polowaniu w rewirze Załęże, w d. 22. grudnia w dwanaście strzelb: 74 zajęcy, 1 rogacza i 2 cietrzewie.

— W Przezdziatce, w powiecie sokołowskim, odbyło się u p. Stanisława Hirschmana w d. 20. grudnia jednodniowe polowanie, na którem w ośm strzelb zabito 60 zajęcy, 6 rogaczy i 5 bażantów.

— W Orłowie, w powiecie kutnowskim, w majątku p. Konstantego Orsettego, odbyło się w d. 7-ym stycznia polowanie, na którem w kilka strzelb, w ciągu jednego dnia, zabito 77 zajęcy i 2 rogacze.

— W Różance, dobrach włodawskich hr. Augusta Zamoyskiego, zabito na polowaniu d. 31. grudnia z. r. w 10 strzelb: 4 dziki, 13 rogaczy, 2 lisy i 105 zajęcy, razem 121 sztuk na 316 strzałów.

— W Radziejowicach, majątku hr. Józefa Krasińskiego, odbyło się polowanie d. 30. grudnia z. r. Na 447 strzałów zabito 9 rogaczy, przeszło 200 zajęcy i trzy lisy.

W tymże samym dniu na polowaniu w Sokolnikach pod Łodzią ubito 117 zajęcy, 15 bażantów i dwa lisy.

— W Witarzewcu pod Łęczycą odbyło się w d. 18-ym grudnia polowanie, w którem wzięło udział siedmiu myśliwych. W przeciągu czterech godzin ubito 70 zajęcy, lisa i 2 cietrzewie.

— W Borownie, u p. Adama Michalskiego, na polowaniu, odbytem d. 2. i 3. stycznia, ubito 350 zajęcy.

— W Krzepinie i Sulikowie, u p. J. Siemieńskiego, na polowaniu w d. 6 stycznia, padło 130 zajęcy i 1 rogacz.

— W Czaryżu i Bałkowie, u hr. Morsztyna, odbyło się polowanie w d. 8 stycznia. Wynikiem łowów było 75 zajęcy, 2 dziki wycinki, 2 rogacze i lis.

— W Radoszewnicy, u p. Augusta Ostrowskiego, na polowaniu, odbytem w d. 10 stycznia, ubito 63 zajęcy.

— W Młodzieszynie, u pani Borzewskiej, na polowaniu d. 10. stycznia, padł jeden odyniec, 6 rogaczy, 4 lisy i 125 zajęcy.

— W Kalenicach nad Bugiem, własności p. Jana Silnickiego, polowano d. 10. stycznia w 14 strzelb i ubito 2 dziki, 10 rogaczy, 13 lisów i 183 zajęcy.

— W Ciszewie, w powiecie Szczuczyńskim, u p. J. Sokołowskiego, odbyło się polowanie w d. 3. stycznia. Mocno zadrzewiony i gęsto zarośnięty las, w wielu jeszcze miejscach niedostępny, utrudniał przejścia nagance, a tem samem masa zwierzyny miała możność przedostać się poza obławę, zabito jednakże w przeciągu czterech godzin 4 rogacze, 18 lisów, 26 zajęcy i 4 cietrzewie.

— W lasach hurbieńskich, w powiecie dubieńskim, u p. Józefa Dunina Karwickiego, odbyły się dwa polowania przed świętami st. st. Polowano w sześć strzelb i ubito 2 dziki, 7 rogaczy, 5 zajęcy i 1 głuszca.

— W Łoniowie, w powiecie sandomierskim, dobrach hr. Moszyńskiego, odbyły się polowania w d. 29. i 30. grudnia w strzelb kilkanaście. Ubito 170 zajęcy i 2 kozły.

— W Radzyniu, w gub. Siedleckiej, u p. Szlubowskiego, polowano w dziesięć strzelb w dniach 14. i 15. grudnia i ubito 114 zajęcy, 2 rogacze i lisa.

— W Turny, w powiecie Wągrowskim gub. Siedleckiej, u p. Ignacego Popiela, polowano d. 14. grudnia w ośm strzelb i ubito 50 zajęcy i rogacza.

— W Sielcu, w gub. grodzieńskiej u p. Zygmunta Golcza, na polowaniach odbytych w d. 10. i 11. stycznia, padły 2 łosie, 1 dzik, 3 lisy, 2 głuszce i 29 zajęcy, przeważnie bielaków.

Zauważyć należy w ogóle, że z powodu urodzaju żołędzi w tym roku dziki bywają sadliste.

W ciągu stycznia, w skutek ogromnych śniegów, polowania były wielce uciążliwe.

Z W. Księstwa Poznańskiego.

— W dobrach ordynackich księcia Antoniego Sułkowskiego, na polowaniach odbytych z końcem grudnia, ubito w polu 983 zajęcy, a w kniei 7 jeleni.

— W Golejewku, u hr. Jana Czarneckiego, ubito w dwóch dniach 1473 zajęcy, rogacza i lisa.

— W Kuklinowie, zabito 366 zajęcy, 2 lisy, 2 rogacze, 6 bażantów.

— W Śmiełowie padło 242 zajęcy, 2 rogacze, 16 bażantów.

— W Starymgrodzie ubito 278 zajęcy, 4 rogacze 12 bażantów.

— W Sośnicy ubito 170 zajęcy, rogacza i lisa.

— W Dłoniu, pod Rawiczem, majątku dawniej Grabowskich, dziś należącym do fabrykanta Wollera, na obszarze 8000 morgów 300-prętowych, polowano przez cztery dni. W pierwszych dwóch dniach polowania ubito w 16 strzelb 1321 zajęcy, a w dwóch dniach następnych w 10 strzelb 513 zajęcy, ogółem więc w czterech dniach 1.834 zajęcy. Najlepszy strzelec zabił 226 zajęcy, drugi z kolei 219 zajęcy. Oprócz tego zabito kilkanaście rogaczy i kilkadziesiąt bażantów i cietrzewi.

KRONIKA.

W poczet Członków galic. Tow. łowieckiego zostali wpisani:

JWW. Mieczysław hr. Komorowski, Jan hr. Poniński, Jan br. Konopka, Zygmunt hr. Szembek, Adam hr. Starzeński i Towarzystwo myśliwych „Stryj“.

Łowy dworskie. W dniach 3., 4. i 5. stycznia polował cesarz Franciszek Józef w Radmer. Pierwszego dnia w rewirach Kuchkogl i Seeau padło 13 łań, między którymi 3 z ręki cesarza. D. 4. polowano w Achnachgraben i ubito 9 łań, a z tych dwie położył cesarz. Ostatniego dnia wzięto do popołudnia tylko dwa mioty, w Hundskogel i Bergerriedl, poczem cesarz wrócił pociągiem dworskim do Wiednia.

Cesarz Wilhelm II. polował d. 6. grudnia z. r. w Göhrdzie i ubił 11 jeleni z liczby 124, jakie wogóle upolowano. Po południu polowano z ogarami na dziki i cesarz 18 sztuk położył ze 103 ogółem zabitych różnej wielkości. Wieczorem powrócił cesarz do Berlina.

Dropie, ubite w grudniu na polowaniu w państwie Strzyżowskiem, nie były, jakeśmy to przypuszczali, („Łowiec“ Nr. 1.) dropiami mniejszymi, *Otis tetrax*. Obecnie donoszą nam ze Strzyżowa, że były to dropie duże, *Otis tarda*, takie, jakie zresztą spotyka się tylko na Podolu. Jeden szczególniej samiec miał się odznaczać wielkim wzrostem. Szkoda, iż nie przesłano choć jednego z ubitych egzemplarzy do Muzeum im. Dzieduszyckich.

Katastrofa na polowaniu. Powszechnie szanowany adwokat warszawski, S. L. Średnicki, bawił przez święta wraz z żoną i dziesięcioletnim synem na świętach w Karwinie, tuż przy granicy galicyjskiej. W wigilię udano się na łowy. Mały Średnicki, obyty już z fuzyą, poszedł także, ale na mrozie zmarzły mu uszy, na co zaczął narzekać przed ojcem. Ten zbliżył się do syna i stanąwszy przed nim, zaczął mu uszy nacierać. W tem fuzya syna, zawieszona z przodu, wypaliła i przestrzeliła nieszczęśliwemu piersi na wylot... Padł, a dowieziony do Warszawy, zmarł tam w 46 r. życia.

Nie na tem jednak koniec nieszczęśliwego polowania. Zajechały sanie, złożono na nich rannego i przysiadł się jeden z myśliwych, położono też fatalną dubeltówkę. Lewdwie ruszono, dubeltówka wypaliła po raz wtóry, gruchocząc kolano woźnicy, a myśliwego, siedzącego na saniach, trafiając w piętę.

Jakże to ciągle trzeba przypominać, ażeby każdy myśliwy wyciągał naboje z lufy, gdy schodzi ze stanowiska!

I z Galicyi mamy smutny wypadek nieostrożności do zanotowania. W Kręgowie koło Sassowa młody W. Sokulski zastrzelił 3. z. m. ks. Hieronima Stachurskiego, rk. wikarego, nieoględnie celując do zająca.

O broni gazowej Giffarda nie wszyscy się tak pochlebnie wyrażają jak pismo francuskie *Temps*, z któregośmy szczegóły w grudniowym numerze podali. Prof. Hebler, który broń tę miał w ręku i czynił z nią próby, zamieszcza mniej pochlebną opinię w *Schweizerische Militärzeitung*.

„Broń Giffarda — mówi ten znawca — jest rodzajem wiatrówki, w której nie ściśnione powietrze, lecz prężący się gaz stanowi siłę, pocisk wyrzucającą. Przy urzędowych próbach, które z bronią tą dokonano w Belgii, okazało się wszakże, że efekt działania broni Giffardowskiej jest jeszcze mniejszym od działania dobrej wiatrówki, tak, że może być jako broń salonowa lub zabawka użytą, lecz nie przydatną jest do celów myśliwskich, a już co najmniej do militarnych.

„Odkąd się te wiadomości o broni Giffarda pojawiły, starałem się koniecznie ujrzeć ją i wypróbować, aby sobie wyrobić należyte o niej pojęcie. Prawdziwą więc radość sprawił mi jeden z mych przyjaciół, gdy mi w czasie mej ostatniej bytności w Paryżu broń Giffarda pokazał i w strzelaniu do tarczy wypróbować pozwolił. Miałem cały, a zatem 300 strzałów umożliwiający patron do dyspozycyi. Starałem się każdy strzał dawać z możliwie największą dokładnością, lecz mimo to, już pierwszych 20 strzałów dały na tarczy obraz, któregoby mi żaden z dobrych strzelców nie pozazdrościł. Dalszych 50 strzałów było lepszych, ale przecież nie takie, jakichby się należało od dobrowej broni spodziewać. Pomimo strzelania z podstawki i całkiem jednakiego mierzenia, górowały niektóre strzały, inne szły dołem lub ku prawej stronie. Na lewo rzadko kiedy zabłąkała się kula. Co zaś do siły przebijania, okazywały się rażące różnice; czasem zagłębiała się kula na centymetr głęboko w desce jodłowej, która za cel służyła, czasem zaś tylko się o deskę zaczepiała, wystając ponad jej powierzchnię. Działanie patronu było więc, jak widać, niejednostajne, bo dostarczało to więcej to mniej prężącego gazu poza nabój. Tej samej okoliczności przypisać też należy górowanie i dołowanie strzałów.

„Najdokładniejsze strzały otrzymałem pomiędzy 120 a 208-ym strzałem; wszystkie dalsze szły już dołem, a od 230-go strzału były już poniżej wszelkiej krytyki. I siła i kierunek zmniejszały się coraz bardziej, skąd wnoszę, iż prężenie gazu w komorze, powiększonej przez wypróżnioną część patronu, jest już całkiem niewystarczające. W ciągu strzelania była broń kilkakrotnie czyszczona i oziębiana, chociaż ani osad ani podnoszenie się ciepłoty nie były wcale znaczne. Lecz nawet stałe przyśrubowanie broni do podstawki przy strzelaniu, nie zapobiegło dołowaniu.

„Może być, że dostał mi się do ręki źle napełniony patron, lub broń sama była wadliwą — tego nie mogę osądzić — dość, że wyniki strzelania były złe. Innym znawcom udało się może lepszy rezultat osiągnąć. Lecz i wedle opinii dwóch jeszcze innych strzelców, którzy także broń Giffardowską wypróbowywali, skłonny jestem twierdzić, że do broni tej nie można przywiązywać wielkich nadziei, i że wątpliwem jest, czy da się na broń myśliwską lub wojskową wydoskonalić.“

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.